Ostatnie lata T. Lenartowicza.

Kilka listów i wierszy z autografów w 25-tą rocznicę zgonu poety († 3 lutego 1893).

(Dokończenie.)

VIII.

O zamiarze swoim wyjazdu do Lwowa nieraz wspomni jeszcze poeta — choć z realizacyą było znacznie trudniej, bo i pieniędzy trzeba było na to nieco i sił więcej. Musiały więc znów listy służyć do wymiany myśli i do ujawnienia tej życzliwości, jaką Lenartowicz chciał odpłacić te uczucia, które mu wyrażała garstka przyjaciół, stale zbierająca się w Gwieździe. W jednym roku (1891) wpadł nawet na oryginalny pomysł wywdzięczenia się za przysłany telegram — i ofiarował wiersz, napisany ongiś na cześć założyciela i najczynniejszego członka stowarzyszenia a druha swego najlepszego.

„Bracia moi Najzacniejsi! [1])

„Myślałem, jakby się Wam odwdzięczyć za życzenia z powodu Świąt Wielkanocnych i na razie nie znalazłem, jak słówkiem, które p o ś w i ę c i ł e m p r z e d l a t y Najświętszej pamięci Mieczysławowi Darowskiemu, kiedy w czasie Jego tu bytności w dniu imienin [podałem] podawałem mu szablę polską, tu we Florencyi na wózku u biednego przekupnia starego żelaztwa znalezioną.

„Odczytajcie ten wiersz w zgromadzeniu Waszem; jest on dowodem prawdy, jakąście w telegramie Waszym wyrazili, że dusza moja przy Was, chociaż ciało włóczy się tu za górami, za morzami.

---

[1]) Florencya, d. 8 kwietnia 1891 r.

„Daj Boże zobaczyć się, a uściskać Wasze pracowite dłonie, a huknąć z całej piersi: Alleluja — Chrystus zmartwychwstał i z Nim nasza Matka najukochańsza.

„Źle na świecie, ale my za świat nie odpowiadamy, jeno za siebie. Płyną ludzie po burzliwych wodach, a sterują się wedle igły magnesowej, która wciąż na północ pokazuje, ale przyjdzie czas, że im tę igłę Chorągiew Zbawicielowa zastąpi a wtedy pielgrzymi na takiej nawie ku Ojczyźnie pożeglujemy. Co daj Boże jak najprędzej. Tymczasem zaś każdy nam brat, kto Rodzice swoja umiłował, niech myśli, jak chce — to jego sprawa z Panem Bogiem: tylko niech się od chorągwi narodowej nie oddala, bo jedność stanowi siłę, a tej nam potrzeba.

„Kochajmy się nietylko przy kieliszku, ale i po trzeźwemu, niechże się to już raz spełni, czegośmy sobie przez wieki życzyli.

„Przyjmijcie wszyscy razem i każdy z osobna uścisk ręki starego Dziada. Bóg Wam zapłać i szczęść Boże w polu i przy warstacie i w domu i na każdem miejscu.

„Wasz duszą i sercem *Teofil.*“

W przypisku: „Kochany Platonie! Oddaj to pismo stowarzyniu Gwiazdy. Ściskam Cię najserdeczniej *Teofil.*“

Kostecki nie uczynił zadość prośbie poety i dopiero po śmierci Lenartowicza ogłosił z listu tego kilka wyjątków w pisanem przez siebie „Wspomnieniu“ [1]). Wzmiankowany zaś wiersz, pełen poprawek w rękopisie, ogłaszamy tu w tej formie po raz pierwszy.

MIECZYSŁAWOWI DAROWSKIEMU [2])

Na włoskim rynku szablę znalezioną,
Którą tu dzieci miejskie podrzucały,
Jak podrzucają Piastowską koroną [3])
Historyo-znawcy — rodzaj dość zuchwały —
Tobie przynoszę, byś zabrał ten szczątek
Do swej skarbnicy wspomnień i pamiątek

[1]) Platon Kostecki: „Wspomnienie pośmiertne“, drukowane w „Gazecie Narodowej“, w Nr. 29, z d. 4 lutego 1893 r.

[2]) [we Florencyi].

[3]) [Tej magnateryi resztki dziś zuchwałej]. Nadpisany i przekreślony wiersz nieczytelny.

Z szablą tą może w Hesperyjskiej stronie
Umierał Polak w te zabiegły kraje,
Może ostatnią ściskał ją przy zgonie,
Gdy Bogu[1]) ducha wierna[2]) pierś oddaje[3])
I konający w ciemną zgonu chwilę
Wymawiał wolność, to *verbum nobile.*//

//*„Pro patria mori“*, a uśmiech spokoju
Wiecznego słońca pięknością go zdobił.
Jako w szlachetnym za Ojczyznę boju
Na roli Bożej dzionek swój odrobił,
I wraca z pola z złotą życia kartą
Z duszą zbawioną, z szablą[4]) nie wydartą.

Może to jaki konfederat stary
Na manifeście podpisany w Barze,
Który pod znakiem niezachwianej[5]) wiary
Z Najświętszą Panną Maryą na[6]) sztandarze
Stawał do boju, kręcąc szablą młynki,
I nie pieśń świecką piejąc, a godzinki.

Szabla[7]) ta wówczas była jeszcze cała,
Lecz gdy nań przyszły widma dni obecnych,
Zwątpienie w Polskę, ilość czynów niecnych
W ciężkiej[8]) żelazo próbie nie dotrwało[9]) —

---

[1]) przedtem: [W chwili].

[2]) poprzednio: [Bogu].

[3]) następuje sześć wykreślonych wierszy:
[Może na nią patrzał i zgorzałą wargą
O Polsce szeptał swojej *dulcis argo.*
Rękojeść czarnym obwitą jaszczurem
Może przyciskał z połamaną gardą,
I pochwę starym pościąganą sznurem.
I w niebo patrzał po rycersku, hardo.]

[4]) poprzednio: [Z szablą strzaskaną, ale...]

[5]) [Chrystusowej].

[6]) wykreślone [złotym].

[7]) [Może ta].

[8]) [Pękło].

[9]) [... i w wiatr poleciało,
Jako stół pęka na znak przepowiedni,
Tak się strzaskały polskie szable w te dni]
po tych wierszach odsyłacz i dwie linie znów przekreślone:
[Nie wytrzymała dzielnej stali cnota,
Bo oto widzisz kresę od brzeszczota].

Tobie ją składam, szlachetny rycerzu,//
//Coś bronił matki niepodległą szpadą,
Któraś zastąpił *Amen* w swym pacierzu,
Służąc Ojczyźnie i ręką i radą.

Tobie, coś sztandar jej podźwignął z prochów.
Nie przegryziony ostrym czasu zębem,
Sztandar z napisem: Olszynka i Grochów,
I z wieńcem liści, zerwanych pod Dębem [1]),
I gwiazdę na nim i orła pomieścił,
By ta świeciła i by ów szeleścił.

Tobie ją składam, coś z polskim narodem,
Z jego najczystszą i najświętszą treścią,
Nie włócząc wzroków za wschodem, zachodem,
Jedną nadzieją, jedną żył boleścią [2]).

Coś śród ubogich narodu warstatów
I u nędzarzy chacianych tapczanów//
/Dopatrzył ślicznych narodowych kwiatów,
Wolności ducha i równości stanów,
I widział twarze te czarne od dymów
Z dziecięcą duszą i z dumą olbrzymów.

I nad nie ogniem twojej piersi wrzącej
Wywołał widmo tej niekonającej
Wiecznej nadziei odradzanej w czynach [3])
W lochach podziemnych w Syberyjskich minach [4]).
Nadzieja twoja naśmiewa się z burzy,
Nie śmiechem synów nocy i szatana,
Ale uśmiechem dziecięcia i róży
I pierwszych świtów majowego rana,
Potężna prawem wolności anielskiem,
Nie przeszkodzona, nie zachwiana niczem,
Naprzód z narodem twoim rzemieślniczym
I z twym narodem posuwa się sielskim.[5])//

---

[1]) [I jeszcze dodał ów znak Kościuszkowski:
Kosy i zboża wyzłacane kłoski].

[2]) [I dłoń połączył z ludową żylastą,
Z taką, co z młotem idzie jedna na sto].

[3]) [We krwi poległych i szubienic skrzypie].

[4]) [I ach! o zgrozo i w pijanej stypie
Tych, co dziś krwawe wzgórza cierpień gładzą,
Puhar podnosząc, silni wrogów władzą].

[5]) [Pod ręką Boga spokojna, jak dziecię,
Które i nie wie, że płaz podły gniecie,
Nad wężów głowy i gniazda jaszczurek
Pieśni wolności ciągnąc pereł sznurek].

//Weź-że tę szablę, rycerzu mój miły,
Przyniósł ją tobie [1]) nie Prometej drugi,
Ale duch z ludem, jednym bolem skuty,
Którego łańcuch wciąż nim trzęsie długi,[2])
Żebyś nią krzyża znak zamachnął w gromach
I rozniósł błyski po ubogich domach,
I abyś braci zawieścił roboczej,
Że tu są wiecznie w nią wpatrzone oczy.

A pismo moje złóż w tej złotej księdze,
Co wieść o tobie do następnych poda,
Gdy ja płynący wciąż pod czasu nędzę,
Jak z pięciu źródeł Dunajowych woda,//
//Która z pod piasku w Karpatach wytryska,
Tem tylko barwna, co na niej połyska,
Popłynę dalej, unosząc na sobie
Na przenajczystszej myśli mojej fali,
Ciebie rycerzu i podobnych Tobie,
Których pamięcią duch mój się pochwali,
Żem widział, lecąc przez łzawe przestrzenie,
Rycerzy Polski i żem niósł ich cienie.

T. Lenartowicz.[3])

IX.

Następny z listów nosi datę d. 12 maja 1891 r., a nawiązując do poprzednio przesłanego wiersza, przechodzi do wypadków ogólniejszych, natury politycznej, wypadków, które poeta łączy ze sprawą Polski.

---

[1]) [A powiedz, że to dał.

[2]) [Szablę tę starą w ręce złożył Twoje,
Wracającego między święte tłumy,
I nad dymiące zgniłych wód zastoje,
Z których podnoszą się odstępców dżumy].

[3]) Rękopis składa się z trzech kart, sklejonych razem i zapisanych po obu stronach. Format papieru 21×13·5 cm. Poszczególne strony są numerowane, poczynając od 57 aż do 62. Widocznie jest to część większego rękopisu, dawniej przygotowanego do druku. Nad tytułem poematu widnieje cyfra XI. Cały wiersz pisany charakterem pisma Lenartowicza z jego lat młodszych, poprawki zaś pismem tem samem, co i ogłaszane listy, a więc z czasu między 1880 a 1890 r.

„Czcigodny Bracie Platonie!

„Nic mi nie odpisujesz, coś zrobił z wierszem do ś. p. Mieczysława i podziękowaniem mojem Gwieździe za życzenia na święta Wielkanocne. Zapewne czasu nie miałeś, zajęty pracą dziennikarską i także przygotowaniem na obchód rocznicy Konstytucyi 3-go Maja, o którym donosiły pisma.

„U nas tu cicho, wysadzenie tylko w Rzymie prochowni w powietrze, w Genui fabryki, daje do myślenia. że to są preludya do owego słówka Prudhona: An—archi, do strasznej tragedyi wylęgłej ze zgniłego pokoju i ze zbrodni, której dokonano na nas, bo gdyby Polska istniała (wolna), nie przyszłoby do rozbioru Francyi, do sojuszu z Moskwą i groźnego dla Europy stanu, który każe jej [być] stać pod bronią, rujnować się na uzbrojenia, a pozostawiać przemysł, rolnictwo i handel, z których pomyślność społeczna wykwita. [1])

„Gdyby nie rozbiór Polski, już to dawno powiedziano, nie mielibyśmy może kwestyi socyalnej w Europie."

Po tych trafnych uwagach, które dopiero po latach dwudziestu pięciu miały się stać własnością ogółu, — zajął się Lenartowicz artykułem, drukowanym w „Kraju" [2]) petersburskim, a podpisanym kryptonimem: Elmo. Artykuł ten, utrzymany w formie wywiadu, podał rzeczy, które nie mogły wyjść z ust poety. To też żywo przeciw temu protestuje Lenartowicz, przytaczając główniejsze myśli swojej ze sprawozdawcą rozmowy:

„Z Polaków był tu Klaczko przez kilka dni i autor artykułu o autorze Lirenki w „Kraju". Człowiek uprzejmy i najlepszemi — jak się zdaje — chęciami ożywiony, który niezupełnie wiernie powtórzył rozmowę ze mną, — pierwsze bowiem, o co mnie zagadnął, było: *jak ten dziennik uważam?* na co ja: — Czy mam być szczerym? — Ale proszę. — Otóż uważam Was za dzien-

---

[1]) W dopisku na pierwszej stronie listu: „wczora tu mieliśmy dzień burzliwy, anarchiści, nie chcąc słuchać oracyi [następuje kilka słów nieczytelnych]... poszli na otwarte sklepy z odzieżą; dość słów: — do roboty... obdarci, przywdziawszy suknie nowe, idą do miasta; w drodze wszakże tłum ten nędzarzy powstrzymała szarża kawaleryi, piechota i strzelcy alpejscy, Kilku ludzi odniosło rany (żołnierze) od kamieni, które na wojsko rzucano; jeden podobno zabity i tak się skończyła zawierucha, a co na zgromadzeniach po domach uradzono — niewiadomo".

[2]) Kraj", Nr. 15, z r. 1891, str. 1—3. Petersburg, d. 12 (24) kwietnia. Elmo: „U autora Lirenki".

nik Rossyjski, redagowany bardzo starannie, który ma tę zasługę, że stając na gruncie prawnym, broni interesów materyalnych [1]) w kraju Polskim, a korespondencyami (nie wszystkiemi, są bowiem i obrażające uczucia polskie) daje wyobrażenie o ruchu umysłowym prowincyom, do których pisma polskie nie dochodzą. [2]) Co do mnie nie sądź pan, żebym nie przykładał ważności i zasługi do wszystkiego, co choćby w najdrobniejszej części przynosi ulgę w nieszczęściu krajowi: na nie wiele się przydadzą te usiłowania, wobec systemu wyniszczenia, z żelazną wytrwałością prowadzonego; co bądź, bronić się trzeba wszystkimi środkami, nie zapominając o godności narodowej, o strzeżeniu się od zbytecznej a szkodliwej polityki pochlebstwa, któremu nie uwierzą, a które i owszem w złej nas opinii („hipokrytów“) u nieprzyjaciół utrzymuje; — jeżeli *tout est perdu* (?!), a tak nie jest, to niechże honor będzie ocalony. [3]) O demonstracyach bez wyraźnych postanowień poczynania czegoś, bez kroku naprzód w praktyce — powiedziałem to, co powiedziałem: Komu męką mowa, tego słowo przemienia się w czyn.

„Na skarb polski złoży się ogół, kiedy chwila szczęśliwa nadejdzie, obecnie idzie to niefortunnie, a cel wyjawiony stoi na przeszkodzie zamiarowi.

„W końcu rozmowy dodałem i to: Nie żyjemy ze sobą literaci, nie żyje ze sobą młodzież, rozrywa się koło bratnie i to najsmutniejsze; jedności, wytrwałości, pracy. Trzymajcie się. Nie prowokować i nie rewokować, nie wyzywać i nie pokorzyć się!

„Zdanie moje nie ma znaczenia w narodzie, zdanie to jednostki, nie reprezentującej (więcej), jak jedną 20-tą milionową część kraju, jeśli, jak powiadasz pan, ma [znaczenie], niechże wiedzą, że z ideałami moimi Polski niepodległej i wolnej, sprawiedliwej i religijnej do grobu zejdę — i nam kiedyś słońce zaświeci.

---

[1]) Na drugiej stronie listu dopisek: „Drogi Przyjacielu! Gdyby z artykułu w „Kraju“, ubliżające dla mojej wiary, wnioski miało wyciągać jakieś pismo *(w takim tylko razie)*, racz zrobić z niniejszego listu użytek.

„Przyjmij zapewnienie mojego wysokiego szacunku

brat *Teofil.*

[2]) W dopisku na stronie trzeciej: „Albo jest to rodzaj „Times'a“, bez koloru, w którym Jeż Miłkowski i Wołyński, Szymański i Konopnicka i Ogonowska prace swoje szczerze polskie drukują.“

[3]) W drugim dopisku na tejże stronie: „Gdybyś zechciał, mógłbym Ci przysłać kopię listu do Zurychu z powodu rocznicy konstytucyi; wątpię wszakże, czybyś wydrukował.“

„Proszę pozdrowić Szanownego pana S.[1]), który w czasie bytności swojej we Florencyi był łaskaw zajść do mnie. Trzymajcież się i niech Wam Bóg dopomaga.

„Oczywiście, że powtórzyć jej w piśmie petersburskiem w całości nie mógł.“

Na osobnej ćwiartce dopisek:

„*Tibi soli.* Treści odpowiedzi pana E.[2]) pisać nie zda mi się: była ona tej natury, że kompromitowaćby mogła młodego człowieka, żyjącego w tym kraju nieszczęśliwym.

„Należy mieć wyrozumienie i nie odpychać nigdy ludzi, którzy przychodzą z dobrą wolą do nas. Nie o nas tu bowiem idzie, ale o kraj, któremu jedności w sferze wielkiej myśli potrzeba, ściągania atomów rozprószonych, z których nowy świat ma powstać.

„Ciężko, boleśnie nam i jak nigdy sieroco, tem więcej przeto garnąć się, dośrodkować, pomimo desoryentacyj myślowych, powinniśmy, a kto nie oszaleje dzisiaj, kto się utrzyma, przyda się na przyszłość Ojczyzny.

„Co znaczy moje, czy czyje *ja*: zbliżać się, przekonywać a życiem i obejściem oddalonych do łaczenia się z zaparciem się siebie, jednać [oto] wszystko, co robić możemy, a za każdą gromadną naradą powzięte postanowienia robienia czegoś praktycznego w czyn wprowadzać.

„Na Litwie młodzież poczciwa przemyśla o propagandzie idei wolności, ale niestety bez religii, bez wiary w Boga; naśladować chcą Tołstoja czy Kalwina; na tej drodze nie dojdziem do celu...

„Drogi Bracie! Piszę Ci to z bolem serca niewypowiedzianym.

„A teraz zdrów mi bądź i przekonany o mojem braterskiem uczuciu

Twój *Teofil.*“

X.

Nadeszły wreszcie święta Bożego Narodzenia 1892 r. I w tym roku, jak zwyczajnie, otrzymał Lenartowicz z Gwiazdy życzenia, wypisane na pięknym adresie, na którym widniał lirnik, grający garstce słuchaczy ludowych. Ani ci, co przesyłali ten adres, ani

[1]) Spasowicza, redaktora „Kraju“.

[2]) widocznie autor artykułu z „Kraju“ dał jakąś odpowiedź Lenartowiczowi na jego wywody.

poeta sam nie przeczuwał, że ta od lat trwająca wymiana listów z okazyi świąt łączących się bezpośrednio z św. Teofilem — już nie powtórzy się więcej, i że odpowiedź Lenartowicza [1]), pełna tylu nadziei i planów na wiosnę 1893 r. — będzie jednym z ostatnich niemal listów, jakie on w życiu swem napisał.

„Drogi serdeczny Bracie!

„Na list Wasz z podziękowaniem pośpieszam, a zdaje mi się, że lepiej Wam podziękuję, ofiarując to, co mam najlepszego, co się pod sercem wylęgło, pieśni ojczyste, gminne Towarzystwu rzemieślników, braci, — z którymi, da Bóg doczekać wiosny, wybieram się do Lwowa i które przed wydrukowaniem na zebraniu braci od młota, topora, pługa i wszelkiego rzemiosła zamierzam odczytać. Będzie to dla mnie największa uczta zobaczyć choć raz w życiu twarz w twarz słuchaczy życzliwych, serca, jednem czuciem bijące.

„Biegaj, Najzacniejszy Bracie, zaraz i to im zapowiedz: nie są to osobliwości, ale przecież mam nadzieję, że dobrem sercem będą przyjęte.

„Pamięć ś. p. Mieczysława Darowskiego jest mi tak przytomną, jakbym go widział przed oczami zachęcającego: a pracuj, a dalej, a dalej, do końca życia. Masz jeszcze przed sobą 15 lat [życia], po których zobaczymy się znowu (własne jego słowa z listu przede zgonem). *Ergo* przyciągnę i powitam Lwów ukochany. Oj! grodzie ty i narodzie mój, a godnyż ja twojego uważania, ani to wieszcz laurowany, ani rycerz zawołany, ale ty, miasto serdeczne, przygarniasz każdego, który przychodzi w imię Boże i w imię Ojczyzny wspólnej.

Podziękuj-że wszystkim [na] podpisanym i niepodpisanym, i poczciwym i sławetnym, i Wielmożnym i Jaśnie Wielmożnym, i jak się kto tytułuje, jak bądź, wszyscy w sercu mojem na równej ławce siedzą. Napiszę do czcigodnego Jana Czernyka [2])... P. Małeckiego, Mochnackiego i t. d., — ale już chyba około Nowego Roku, — a dziś, nie chcąc zwlekać, zbeczawszy się z radości na widok Lirnika i ludku serdecznego — wyprawiam co prędzej to, co się rzekło wyżej.

„Twój najprzywiązańszy brat i sługa

Teofil Lenartowicz."

---

[1]) Florencya, d. 24 grudnia 1892 r., do Platona Kosteckiego, cyt. we „Wspomnieniu" pośmiertnem.

[2]) Następuje nazwisko, nieczytelnem pismem skreślone.

XI.

Nie napisał już atoli Lenartowicz tych listów wszystkich — został jednak jeden, na miesiąc ledwo skreślony przed śmiercią, który stał się jakby jego testamentem duchowym. Tu raz jeszcze wypowiedział wszystko, co serce jego czuło, co umiłował, z czem myśli swoje i życie całe związał.[1]) Wskazuje ponownie, oglądając się z nad mogiły na przeżytych lat siedmdziesiąt — dwa główne motory czynów ludzkich i zamierzeń społecznych, którymi według niego są: miłośc i praca. I cieszy się, że „to co przez wieki brzmiało przy biesiadach ojców naszych życzenie, zawarte w słowach: kochajmy się, sta e się co raz więcej rzeczywistością. Kielich łez i trucizn najzjadliwszych jakieśmy wypróżnili, więcej nam dopomógł, jak ów kielich, winem napełniony; zwrócił nas ku sobie, przekonał, że aby mieć prawo do życia, potrzeba posiadać warunki życia“... łączenia się, bratania i wytrwałego działania.

„Praca zaś — mówi Lenartowicz — zbawia duszę, zbawia naród i przed Bogiem się zasługuje. Na najcięższy ból jedynem lekarstwem umiłowana praca, na najczarniejsze zwątpienia jedynym środkiem związek bratni, a myśl, że nie jesteśmy sami, że koło nasze rozciąga się na cały obszar ziemi, jak rychło zaświeci w umyśle — wszystko się rozpogadza, wraca ufność, nadzieja i wiara, wraca siła do walki z przeciwnościami i duma wolnych ludzi.“

A kończył to pismo swoje biedny tułacz podniosłą apostrofą, która dewizą wszystkich następnych pokoleń stać się musiała:

„Niech żyje naród, przejęty prawdą, przez jedynego Najwyższego Boskiego Mistrza przyniesioną, ubogi a bogaty sercem, uciśniony a wolny duchem, kuszony a wierzący, wykreślony z rzędu narodów a najnarodowszy. Cześć! polskiej ziemi, cześć!...“

* * *

„...Żyłem dość długo, przypatrzyłem się wielu rzeczom i mogę odejść“ [2]) — mówił sędziwy Lirnik pod koniec dni swoich, —

---

[1]) ob. list do Leona Bratkowskiego, z d. 4 stycznia 1893 r. „Gazeta Narodowa“ z d. 10 stycznia 1893 r., Nr. 8, autograf obecnie **w mojem posiadaniu.**

[2]) Z listu do Zofii Romanowiczówny, z d. 26 grudnia 1891 r., cyt. u Biegeleisena, str. 170.

a Pan wysłuchał słów sługi swego i zesłał doń „tego anioła, co pieczęć kładzie na oczy i usta i powiada *consummatum est.*"

Teofil Lenartowicz umarł dnia 3 lutego 1893 r. we Florencyi.

I sprowadzono zwłoki jego do grobów zasłużonych na Skałce, i w nekrologach pisano wiele o wielkim poecie, i studya a monografie mówią o tem jak tworzył, czem się zasłużył, jakie ma znaczenie w literaturze. Została poezya, człowiek co raz to bardziej niknie w mgle zapomnienia. Ci, co go znali, odeszli, — młodzi nie pytają, kim był w życiu autor „Błogosławionej". Więc aby wiedziano, że człowiekiem był jeszcze idealniejszym, niż poetą, — dobywamy z ukrycia tych listów kilka. Zapewne, że daleko im do literackiej korespondencyi Słowackiego, Zaleskiego, Siemieńskiego, czy Norwida, ale też nie o literacką wartość tu idzie. Z tych słów prostych bowiem, często dotyczących spraw osobistych, dowiadujemy się, jak myślał w potocznem życiu ten człowiek, co w pieśni wielkie ideały głosił. Widzimy, że u niego niema rozdźwięku między tem, co pisał dla szerokich mas czytelników, a tem, z czem się zwierzał przed najbliższymi. Poznajemy pracownika niezwykle skromnego, poświęcającego troski swe, bóle i cierpienia na ołtarzu wspólnej miłości Ojczyzny. A ponad to wszystko wyłania się ku nam charakter tak prawy, tak szlachetny i tak jednolity, jak rzadko spotkać.

Toż może dla tych, co więcej cenią duszę kryształową, niż brylanty słów i zwodniczy często talent — i te pożółkłe kartki będą miały jakąś wartość.[1])

---

[1]) Pp. Witoldowi Bełzie i dr. Adamowi Fischerowi, którzy wspierali mnie w bibliotecznych poszukiwaniach, składam na tem miejscu najserdeczniejsze podziękowanie. *(St. L.)*

STANISŁAW LAM.

Urzędnicy kancelaryjni
sądów ziemskich i grodzkich
w dawnej Polsce.

(Dokończenie.)

Przepisy projektu Zamojskiego o urzędnikach kancelaryjnych.

Pominąwszy przepisy o patronach spraw, zawarte w artykule XIII. (§ 1—27), tudzież o woźnych, zawarte w artykule XV. (§ 1—7), którymi się w tej pracy nie zajmujemy, mówi projekt Zamojskiego (P. Z.) o kancelaryach sądowych w dwóch artykułach; w XIV. o regentach, susceptantach i kancelarzystach (§ 1—29) i w XXV. o ordynacyach kancelaryów (§ 1—25). P. Z. nie wyczerpuje wszystkich kwestyj, łączących się z urządzeniem kancelaryj sądowych. Tak mianowicie nie dotyka wcale sprawy budowy i rozkładu archiwów, uwagę swą poświęca wyłącznie personalowi kancelaryjnemu, mianowicie regentom, susceptantom i kancelarzystom. Zasadniczo opiera się P. Z. na dawnem prawie polskiem, w wielu jednakże kwestyach wprowadza nawet daleko idące zmiany

---

[1]) A. G. Z., XXII., nr. 253, str. 634—635

i innowacye, w wielu innych znowu przepisy dawnego prawa polskiego dokładniej definiuje. Jedną z takich nowości projektu było wprowadzenie egzaminu dla wszystkich urzędników kancelaryjnych.

1. *Regenci.*

Zgodnie z dawnem prawem dopuszcza P. Z. do tej funkcyi jedynie szlachtę polską, oznacza też granicę wieku, wymaganego od kandydatów na lat 26, postanowienie dawniej nieznane. Ze względu na to, iż dawniej regentem zostawał palestrant zasłużony po przejściu całego szeregu stopni urzędów kancelaryjnych, bywali regentami dawniej ludzie starsi tak, iż w tem postanowieniu P. Z. upatrywać należy raczej ułatwienie, aniżeli utrudnienie dla kandydatów na ten urząd.

Podczas gdy dawniej regenta grodzkiego mianował starosta, ziemskiego pisarz ziemski, wedle projektu nominacya wychodziła od całego sądu grodzkiego względnie ziemskiego. Następowała ona większością głosów. W przeciwieństwie do prawa dawnego, które nie znało żadnych formalnych wymogów do objęcia tego urzędu, wprowadził projekt dwa nowe wymogi: egzamin publiczny, odbyty przed sądem, mający wykazać uzdolnienie na urząd regenta i poświadczenie piśmienne, iż kandydat nie jest przekonany o żadną zbrodnię, ani też nie notowany w obyczajach. Poświadczenie to miało być wystawione przez jednego z senatorów, dwóch urzędników i dziesięciu co najmniej szlachty osiadłej danego województwa. W ten sposób P. Z. ujął w ścisłą formę to, czego i dawniej na mocy zwyczaju przestrzegano.

W przeciwieństwie do dawnego prawa, wedle którego regent mógł być właściwie każdej chwili odwołany przez swego zwierzchnika, stanowił P. Z., iż urząd regenta jest stały i regent jedynie na podstawie wyroku sądowego lub wskutek przeniesienia się na urząd wyższy, może być z urzędu usunięty. Podobnie jak w dawnem prawie, obejmował regent swój urząd z chwilą złożenia przysięgi (§ 1). Formularz tej przysięgi był stale przez projekt przepisany i identyczny dla regentów i susceptantów (art. XXVI., str. 913).

Zakres urzędowania regenta obejmował dwa kierunki: nadzór nad aktami sądowymi i nadzór nad urzędnikami kancelaryjnymi.

Akta sądowe oddawał regentowi nowemu pisarz sądowy, a to wedle sumaryusza registratury (spisu) tych aktów, jeżeli takiego spisu dotychczas w kancelaryi nie było, musiał go regent sporządzić w czasie mu wyznaczonym (§ 3). Regent miał utrzymywać

w zupełnym porządku akta zarówno własne, jak i dawniejsze, o ile te nie były utrzymane porządnie. W tym celu miał on te akta wedle ich kategoryj i lat porządnie zebrać, ułożyć, ponaprawiać i wszyć w księgi. Do każdej księgi miał być sporządzony osobny regestr (§ 4).

Regent był upoważniony do przyjmowania wszystkich transakcyj od stron (§ 5). Projekt zawierał szczegółowe przepisy co do sposobu prowadzenia ksiąg, które po części zgadzały się, po części znowu odbiegały od prawa dawnego.

Podczas gdy dawniej prowadzono protokoły w ten sposób, iż zapisywano transakcye do poszczególnych seksternów, a potem dopiero oprawiano je razem, tworzono zatem księgi dopiero po ich zapisaniu, to wedle P. Z. przeciwnie, najpierw oprawiano czyste z równego papieru arkusze w księgę, a transakcye zapisywano wprost do księgi. O założeniu nowego protokołu winien był regent zawiadomić zaraz sąd, przyczem na osobnym arkuszu tego samego formatu i rodzaju, co arkusze księgi, miał zaznaczyć liczbę arkuszy w księdze, datę pierwszej wpisanej do protokołu transakcyi i rodzaj transakcyi (§ 7). Arkusz ten miał przewodniczący i pisarz sądu podpisać i przechować. Potem, kiedy cały protokół był już ukończony, winien był regent przedstawić protokół sądowi. Sąd sprawdzał, czy format, rodzaj, liczba arkuszy papieru zgadzają się z datami, podanemi przez regenta przy założeniu księgi, w razie stwierdzonej zgodności tych dat przewodniczący i pisarz podpisywali protokół, w przeciwnym razie regent stawał się winnym falsyfikacyi aktów i surowo za nią miał być karany (§ 8).

Każdego dnia wieczorem przed opuszczeniem kancelaryi winien był regent zaznaczyć w protokole, ile transakcyj wpisał i ile spacyów zostawił niezapisanych. Liczby odnośne miały być wyrażone słowami, przyczem regent miał umieścić swój podpis. Jeżeliby w tej notatce popełnił regent jaką omyłkę, nie mógł nic w niej mazać ani skrobać, lecz zaraz zrana dnia następnego regent grodzki miał okazać te pomyłkę sądowi grodzkiemu, ziemski zaś, o ile wtenczas nie było kadencyi sądowej, susceptantom i wobec sądu względnie susceptantów przeprowadzić poprawkę (§ 9). Podobnie, gdyby regent popełnił jaką pomyłkę w transakcyi, zapisywanej do protokołu, nie mógł w jej tekście nic skrobać ani przekreślać, lecz winien był wyraz odnośny podkreślić, a nad nim wypisać właściwy, poczem po wypisaniu całej transakcyi miał zaznaczyć na jej końcu pomyłki, poczem dopiero strona kładła swój podpis (§ 10).

Transakcye można było podawać do wpisu już gotowe, ułożone i spisane, czyli — jak mówiono — in parata copia, albo też można było upraszać o ich ułożenie regenta. Regent w obu wypadkach był obowiązany uczynić zadość życzeniu stron, chyba że transakcya była ułożona z obrazą (lesya) strony drugiej. W przyjmowaniu transakcyj winien się był regent trzymać ściśle porządku chronologicznego, t. j. tego, w jakim strony się zgłaszały, bez względu na to, czy transakcya była już przez same strony spisana, czy też miała być dopiero ułożona przez regenta (§ 11). Transakcye musiał regent sam własną ręką wpisywać do protokołu i to tylko w kancelaryi, nie zaś n. p. po gospodach (wedle zastrzeżenia, zawartego w przysiędze).

W sprawie t. zw. wolnych miejsc, „spacia vacua", P. Z. obostrzył przepisy prawa dawnego. O ile te spacya nie były zapisane najdalej do dnia drugiego wieczorem, musiały być one przez regenta skreślone z dopiskiem „dla niepodanej transakcyi wymazuje się", poczem miał być umieszczony podpis regenta (§ 6).

Regent przechowywał dalej u siebie klucz od archiwum, sprawa ta zatem była urządzona odmiennie przez P. Z., aniżeli przez prawo dawne, które znało osobnego urzędnika (klucznik), mającego klucze od archiwum w przechowaniu. Susceptanci, którzy dla przeprowadzenia kwerendy, względnie dla wydania transakcyj, chcieli dostać się do archiwum, musieli opłacać za każdym razem regentowi po 20 groszy polskich. Wstęp do archiwum był dozwolony oprócz regenta, także susceptantom, innym urzędnikom, a tem bardziej osobom, nie należącym do kancelaryi, tylko w towarzystwie regenta, względnie susceptanta (§ 22).

Regent przechowywał również pieczęć sądową, jednakże to prawo służyło obok regenta, także susceptantom. Regent sprawował nadzór nad wydawaniem ekstraktów z ksiąg sądowych i był odpowiedzialny za omyłki przypadkowe, względnie umyślne, jakie w tych ekstraktach zaszły (§ 24). Ekstrakty były wydawane w następujący sposób: Przepisywał transakcyę z księgi jeden z kancelarzystów, poczem następowało kolacyonowanie odpisu z księgą (czytanie). Przeprowadzał je zawsze susceptant, i to jeżeli transakcya była zapisana przez regenta, susceptant na którego wypadała kolej urzędowa, jeżeli zaś transakcya była przyjęta przez susceptanta, w takim razie ten susceptant, ktory ją przyjął. Stosownie do tego umieszczano pod ekstraktem uwagę: „czytane przez susceptanta N. N.", albo „czytane i pisane przez susceptanta N. N.". Po czytaniu podpisywał ekstrakt i wyciskał pieczęć regent, któremu je-

dnak za to nie należała się żadna opłata od susceptantów. Projekt bowiem uważał, że regent nie powinien pobierać za podpis opłaty od susceptantów, którzy przeprowadzali czytanie transakcyj, przyjętych przez regenta (§ 23).

Regent pobierał dochody z kancelaryi, oprócz tych, jakie przypadały susceptantom. Dochodów tych nie był obowiązany wydawać sądowi. Pobierał on tedy dochody z suscepty, z ekstraktów i od klucza archiwalnego, a to wedle taksy, której egzemplarz miał być przybity w kancelaryi sądowej i której przekraczać nie było wolno (§ 12). Oprócz tego należały doń dochody z pewnych kar. I tak mianowicie: gospodarz, który miał na kwaterze kancelarzystę, jeżeli nie przedstawiał z końcem miesiąca przepisanych raportów, albo też przedstawiał raporty zmyślone lub niedokładne, ulegał karze 60 złp. na rzecz regenta (XXV., 5).

Z dochodów kancelaryjnych obowiązany był regent utrzymywać pewną liczbę ubogich kancelarzystów, t. j. dawać im in natura, albo też za nich opłacać, stancyę i stół. Liczbę tych urzędników miał oznaczyć sąd wraz z przybranym senatorem i dwoma urzędnikami wojewódzkimi (§ 19). Jeżeliby liczba tych kancelarzystów, których miał utrzymywać regent, nie była pełna, naówczas nowo przybywający kancelarzysta miał być przyłączony do kompletu. Jeżeliby zaś liczba była już zapełniona, nowo przybyły kancelarzysta musiał czekać wakansu, przyczem pierwszeństwo liczyło się wedle czasu służby (XIV., 26).

Regentom należało się to bezpieczeństwo i uszanowanie, jakie się należało osobom sądowym, z drugiej strony byli oni obowiązani zachowywać sami w stosunku do stron i do urzędników wszelką skromność i przestrzegać, aby także podlegli im urzędnicy kancelaryjni skromnie i przyzwoicie się zachowywali (§ 13). Godziny urzędowe wyznaczył projekt dla regenta i w ogóle dla urzędników od godz. 8 do 12 i od 3 do 7, czyli 8 godzin urzędowania dziennie, czas urzędowania zatem w porównaniu z godzinami urzędowemi, przepisanemi przez prawo dawne (ordynacya sanocka 1717 r.), był o godzinę krótszy. Niedziele i święta były zupełnie wolne od urzędowania (§ 5). Jeżeli dodamy do tego, że regent miał tygodniowo 7 godzin nauki teoretycznej dla kancelarzystów, o czem jeszcze będzie niżej mowa, że do tych wykładów musiał się zapewne przygotowywać, można zrobić uwagę, iż P. Z. może tylko bardzo małą, w porównaniu z prawem dawnem, przyniósł ulgę pod tym względem regentom.

Samowolnie nie mógł regent nigdy opuszczać kancelaryi, wszelkie oddalenie wymagało zezwolenia sądu, na czas nieobecności regenta zastępował go pierwszy susceptant (§ 21).

Powyższe przepisy P. Z. o regentach odnosiły się również do regentów trybunalskich (§ 2).

Regent sprawował nadzór nad podległymi mu urzędnikami kancelaryjnymi, zarówno co do ich obyczajów, jak i co do nauk. Jeżeli zaniedbywał pod tym względem swych obowiązków, albo też sam dawał zły przykład (przez bezbożność, pijaństwo, nieobyczajność), mógł być nawet złożony z urzędu (XIV., 28), o czem będzie mowa dokładniej w dalszym ciągu. Wszelkie przekroczenia ze strony regenta były surowo karane przez P. Z. karą więzienia, majątkową, albo nawet usunięciem z urzędu, przyczem z odnośną skargą mógł wystąpić nie tylko przełożony, ale każdy z obywateli.

W dwóch paragrafach XXV., 5 i 14, wspomina P. Z. ubocznie o wiceregencie. W pierwszym z nich stanowi, iż gospodarz, u którego mieszka kancelarzysta, ma składać miesięczne sprawozdania o sposobie życia kancelarzysty „regentowi, lub w nieprzytomności tego wiceregentowi". Wedle paragrafu drugiego regent, lub w jego nieobecności wiceregent, ma udzielać nauki kancelarzystom. Z tych ubocznych wzmianek zdawałoby się wynikać, iż obok urzędu regenta istniał urząd wiceregenta, jednakże wnioskowi temu staje na przeszkodzie inne postanowienie projektu, wedle którego w razie nieobecności regenta zastępować ma go pierwszy susceptant (XIV., 21). Poza tem projekt nie wspomina zresztą nigdzie o wiceregencie, należy tedy przyjąć, iż ta nazwa odnosiła się do susceptanta, który zastępował regenta w jego nieobecności.

2. Susceptanci.

Po regencie najwyższymi urzędnikami kancelaryjnymi byli susceptanci. Podczas gdy dawne prawo znało w kancelaryi tylko jednego susceptanta, mianowanego przez regenta, wedle P. Z., susceptantów było kilku, liczba ich zależała od wielkości terytoryum sądowego, tudzież od ilości transakcyj sądowych. Wedle projektu, susceptantów mianował pisarz sądowy łącznie z regentem. Podobnie jak regent, musiał i susceptant odbyć egzamin, urząd zaś swój obejmował po złożeniu przysięgi (§ 14). Co do sposobu urzędowania zawiśli byli susceptanci od regenta, jednakże regent nie miał prawa ich karać, lecz musiał

z oskarżeniem swem zwrócić się do sądu (§ 15). Susceptanci byli upoważnieni do przyjmowania transakcyj i prowadzenia protokołów na równi z regentem przyczem byli obowiązani przestrzegać pod tym względem tych samych przepisów, jakie obowiązywały regenta (§ 16). W szczególności byli susceptanci obowiazani utrzymywać w należytym porządku akta swojej suscepty, jak i poprzednie i winni być regentowi pomocą w porządkowaniu aktów dawniejszych (§ 17). Jak wspominaliśmy już wyżej, susceptanci nie mieli klucza od archiwum, lecz za każdym razem, gdy chcieli udać się do archiwum, musieli prosić on regenta i opłacać taksę 20 gr. p. (§ 22). Susceptanci, jak również już o tem mówiliśmy, przeprowadzali czytanie wychodzących z kancelaryi ekstraktów, na znak przeprowadzonej lekty, podpisywali je i opatrywali pieczęcią sadową, jaką mogli mieć w swem przechowaniu (§ 23). Za pomyłki umyślne czy przypadkowe w ekstraktach byli odpowiedzialni (§ 24). Przed susceptantami ziemskimi, w czasie, gdy nie odbywała się kadencya sądu ziemskiego, miał regent przedstawić omyłki, jakie zaszły w notatce, którą w myśl projektu miał regent wpisywać codziennie do protokołu, co do liczby przyjętych transakcyj (§ 9). W czasie nieobecności regenta zastępował go najstarszy susceptant (§ 21). Susceptanci zatrzymywali dla siebie dochody kancelaryjne z suscepty i z ekstraktów, podobnie jak regent (§ 19), a w zamian zaś za to mieli, również podobnie jak regent, utrzymywać jednego lub więcej, stosownie do dochodu, kancelarzystów (§ 20). Należało się im toż samo uszanowanie i bezpieczeństwo, co regentowi, i z drugiej strony oni sami winni byli zachowywać się przystojnie pod karą wieży (§ 18).

3. *Kancelarzyści.*

Szczegółową uwagę poświęcił P. Z. palestrantom, na których oznaczenie wprowadził nową, nieznaną dawniej nazwę kancelarzystów. Odnośne przepisy mieszczą się w osobnej ordynacyi kancelaryjnej, pomieszczonej w artykule XXV., oprócz tego jednak dotyczą tego przedmiotu końcowe paragrafy (25—29) artykułu XIV. Zgodnie z prawem dawnem uważał projekt kancelarzystów nie jako urzędników, lecz raczej jako młodzież wyborową, która przez pracę w kancelaryach sądowych miała się przygotować do przyszłego zawodu obywatelskiego. Kancelarya sądowa miała być dla nich nie tyle urzędem, ile szkołą. P. Z. poszedł nawet w tym względzie

dalej, aniżeli prawo dawne; podczas gdy bowiem dawniej znajomość prawa nabywali palestranci drogą praktyki, obecnie obok praktyki mieli słuchać wykładów teoretycznych. Więcej jednak, aniżeli na przygotowanie naukowe, zwracał projekt uwagę na zalety moralne i etyczne palestrantów, wprowadzając tu cały szereg przepisów dawniej nieznanych (§ 1).

Prawo przyjmowania kancelarzystów należało do regenta, jednakże projekt wprowadził tu pewne wymogi formalne, dawniej nieznane. Kandydat winien był przedłożyć regentowi dwa świadectwa (listy zalecenia), wystawione z zachowaniem powszechnie obowiązujących przepisów formalnych, t. j. opatrzonych podpisem i pieczęcią. Pierwsze miało pochodzić od rodziców względnie opiekunów, miało określać wiek kandydata, zezwolenie rodziców, tudzież poświadczenie, iż kandydat względem starszych zachowywał się z należnem uszanowaniem i posłuszeństwem. Świadectwo drugie miało pochodzić od zwierzchności szkolnej, miało wyrażać, wiele lat chodził kandydat do szkół, jakie poczynił postępy w naukach, jakie były jego zachowanie i obyczajność. Świadectwo miało również zawierać zalecenie, na jakie kandydat sobie zasłużył. Regent miał badać te świadectwa, a jeżeli je uznał za wystarczające, przyjmował kandydata, w przeciwnym razie kandydata odrzucał; kandydat jednak odrzucony mógł wnieść rekurs do sądu, który sprawę ostatecznie rozstrzygał (§ 2). Tylko szlachta mogła być przyjmowana do kancelaryi, ograniczenie to wynikało w projekcie stąd, iż kancelarzyści mieli po ukończonej praktyce pewne przywileje co do służby publicznej, dostępnej tylko szlachcie (XIV., 25).

Przed objęciem funkcyi przez nowo przyjętego kandydata, miał mu regent odczytać postanowienia ordynacyi kancelaryjnej, wyjaśnić ich znaczenie, kandydat zaś miał oświadczyć, iż postanowieniom tym się poddaje, inaczej nie był przyjęty. Kancelarzysta nie składał tedy przysięgi, tylko przyrzeczenie w miejsce przysięgi. Potem następował wpis kandydata do t. zw. księgi kancelaryjnej, do której wpisywano też jego świadectwa (§ 3), a nadto rok i dzień wstąpienia do kancelaryi (XIV., 25). Regent miał zwracać przedewszystkiem uwagę na sposób prowadzenia się kancelarzysty i jego zachowanie się. Regent wykonywał kontrolę nad życiem kancelaryjnem urzędnika. Kancelarzysta miał zawiadomić regenta, u kogo mieszka. Gospodarz, przekonany o występek, oddający się pijaństwu, znany z kłótni i swarów, nie mógł trzymać na stancyi kancelarzystów, kancelarzysta, którvby stanął u takiego gospodarza, musiał na żądanie regenta najdalej do dni trzech odmienić mie-

szkanie (§ 4). Każdy gospodarz był obowiązany przedkładać regentowi co miesiąc sprawozdanie o sposobie życia kancelarzysty. W szczególności miał donieść, czy jego mieszkaniec przebywał zawsze w domu od 9 wieczorem do 6 rano, czy nie ma w zwyczaju kłamstwa, przeklinania, złorzeczenia, grania w karty, pijaństwa, życia rozwiązłego, zaciągania długów, przedawania lub zastawiania swych ruchomości. Dalej, czy przestrzega należytej koło siebie czystości i czy nie ma jakiej choroby. Gospodarz, którýby nie przedstawiał takich raportów, albo też przedstawiał raporty zmyślone lub niedokładne, ulegał karze pieniężnej. (§ 5). Gospodarz, któryby nie dopełnił tego obowiązku przez trzy miesiące, miał być karany nadto więzieniem i pozbawiony nadal prawa trzymania u siebie kancelarzystów. Do przedstawienia powyższych raportów był obowiązany każdy, u kogo kancelarzysta mieszkał, a więc zarówno obcy, jak krewny, a także ojciec kancelarzysty (§ 6). W razie oskarżenia kancelarzysty, czy to przez gospodarza w raporcie miesięcznym, czy też przez kogokolwiek innego o jedno z wykroczeń, wymienionych w § 5, miał regent przeprowadzić śledztwo, i stosownie do rezultatu mógł ukarać kancelarzystę karą dyscyplinarną. Jako rodzaje takiej kary znał P. Z., chodzenie przez jakiś czas bez szabli i karę wieży. W razie ciężkiego przewinienia mogło nastąpić wydalenie kancelarzysty, jednakże to prawo nie służyło regentowi, lecz samemu sądowi. (§ 7). Występki, które pociągały ten skutek, były wyliczone w projekcie przykładowo, jak n. p. bezbożność, bluźnierstwo przeciwko wierze, nieodpowiednie zachowanie się wobec rodziców tak, iż ci wskutek tego musieli wnieść skargę, pobicie, poranienie swej służby, przepędzanie nocy po domach podejrzanych, zakłócanie publicznego bezpieczeństwa i spokojności, kradzież choćby najmniejszej rzeczy, sfałszowanie cudzego podpisu, zaciąganie długów wbrew woli rodziców, wydanie bez wiadomości regenta lub sfałszowanie w kancelaryi jakiegokolwiek papieru, przekupstwo w sprawie urzędowej, pogróżki czynione regentowi, trzykrotne nieusłuchanie jego poleceń, niepłacenie należytości należnych gospodarzowi, rzemieślnikom, samowolne, bez zezwolenia regenta i w nieprzytomności susceptanta wchodzenie do archiwum (XXV., 8, XIV., 27). Kancelarzysta raz oddalony, nie mógł być więcej do kancelaryi przyjęty. Gdyby kancelarzysta popełnił jaki występek jeszcze cięższy, miał być oddany sądowi (§ 8). Raporty miesięczne gospodarzy, jako też wyroki, wydane na kancelarzystów, miały być wpisywane do księgi kancelarzystów, od czasu do czasu musiała być ta księga z polecenia regenta, czytana przez kancelarzystów (§ 9).

Regent miał się troszczyć również o potrzeby kancelarzystów religijne, jeden z księży danej miejscowości miał być przezeń obrany jako kapelan i spowiednik kancelarzystów. Każdy nowy kancelarzysta miał być przedstawiony kapelanowi, aby tenże mógł wykonywać nad nim skutecznie kontrolę. W razie gdyby kancelarzysta nie wykonywał obowiązków, jakie na wiernego nakładają przepisy kościelne, miał być oskarżony przez kapelana przed regentem (§ 10). Kapelana było obowiązkiem odprawiać codziennie rano o godzinie 6 mszę dla kancelarzystów, a ponadto w niedzielę miewać o oznaczonej godzinie naukę duchowną „o obowiązkach człowieka chrześcijanina i obywatela“ (§ 11).

Nauka kancelarzysty w kancelaryi obejmowała dwa kierunki, praktyczny i teoretyczny, ten drugi był w porównaniu z prawem dawnem nowością. Kierunek praktyczny polegał na tem, iż urzędnik miał spełniać te czynności w kancelaryi, jakie mu regent wskazał, musiał tedy przepisywać wskazane mu dokumenty (§ 12), względnie koncypować jakąś transakcyę, albo wreszcie czytać akta lub formuły rozmaitych transakcyj. Formularz taki musiał się znajdować w kancelaryi i być przedstawiony w czasie rewizyi (§ 13). Ponieważ kancelarzysta nie był zaprzysiężony, przeto nie mógł wchodzić sam bez pozwolenia i przytomności susceptanta do kancelaryi, bez takiego zezwolenia i bez przytomności susceptanta nie mógł on również wydawać z ksiąg ekstraktów. Inaczej wykreślano go z księgi kancelaryckiej (XIV., 27).

Celem zapoznania kancelarzystów z biegiem przewodu sądowego, tudzież ze sposobem odbywania sądów, zalecał P. Z. utworzenie z kancelarzystów sądu fikcyjnego. Kancelarzyści mieli wybrać z pośród siebie sędziego, podsędka, pisarza i regenta, ponadto zaś powoda i pozwanego. Jeżeli liczba kancelarzystów nie starczyła, miało być dwóch z nich wybranych do sądu, a dwóch jako strony. Susceptant, wyznaczony przez regenta, miał dawać wskazówki co do sposobu postępowania w procesie. Sąd ten miał sobie założyć księgi sądowe (dekretarz, sentencyonarz), regent miał założyć protokół. Fikcyjne strony miały wskazać, jakie dokumenty uważają do swego sporu za potrzebne, a po ich przygotowaniu miała się odbyć fikcyjna rozprawa sądowa, zupełnie na wzór rzeczywistej, sąd wydawał wyrok, dopuszczał względnie odrzucał apelacyę, pisał stronie wyrok, który regent wydawał przez ekstrakt z księgi (§ 15). Susceptant, który kierował fikcyjnym procesem, miał wpajać w umysły kancelarzystów zasady sprawiedliwości, potępiać skłonności do wydawania niesłusznych wyroków, chęć do

pieniactwa. zalecać stronom aby przedewszystkiem i nasamprzód udawały się do sądów polubownych, zanim wejdą na właściwą drogę sądową (§ 19), pouczać, iż transakcye mają być układane w wyrazach prostych i jasnych, z pominięciem słów dwuznacznych i zbytecznych (§ 16). W ten sposób powstałe akta miały być utrzymywane przez kancelarzystów w należytej czystości i porządku i zostawały pod nadzorem susceptanta (§ 17).

Utworzony w ten sposób sąd kancelarzycki. oprocz swego zadania. aby kancelarzystom podawać praktyczną naukę, miał jeszcze drugie zadanie. Z woli regenta mogły mu być przyznane do rozsądzania drobniejsze sprawy samychże kancelarzystów, jak n. p. o nieuczenie się, niedopełnianie obowiązków kancelarzyckich, zakłócenie spokoju w kancelaryi. Jeżeli wyrok został uznany przez regenta za słuszny, regent go uznawał. w przeciwnym razie uchylał (§ 18).

O ile to drugie zadanie sądu kancelarzyckiego uznać należy za słuszne i odpowiednie, o tyle zadanie pierwsze, jakie projekt temu sądowi wyznaczał, wydaje się dość zbędnem. skoro kancelarzyści. ustanowieni przy kancelaryach sądowych. mieli dość sposobności. aby się przypatrzeć i uczyć prawa na rzeczywistych procesach i przed rzeczywistym sądem.

Kancelarzyści mieli pobierać także naukę teoretyczną. Jak wynika z natury rzeczy, nie mogła ta nauka przybierać szerszych rozmiarów: ograniczała się też ona do trzech głównych przedmiotów, wykładanych na podstawie przepisanych przez projekt książek. Przedmiotami nauki było: prawo natury, prawo narodów i prawo polityczne polskie. Nauczycielem tych przedmiotów teoretycznych był sam regent względnie wiceregent, podczas gdy, jak widzieliśmy, praktycznej nauki prawa udzielał susceptant. Prawo natury miał regent wykładać na podstawie dzieła Puffendorfa „De officio hominis et civis“, w związku z tem prawem miało być uwzględniane i prawo cywilne w głównych zarysach. Zasady tych praw miały być ilustrowane przepisami prawa koronnego i litewskiego, a nadto prawa rzymskiego, na podstawie kodeksu Justyniana. Prawo narodów wykładać miano na podstawie dzieła Grocyusza „De iure belli et pacis“. Na wykłady tych dwóch przedmiotów przeznaczył projekt jedną godzinę dziennie, co dzień po południu od godz. 2—3. Projekt wprawdzie nie powiada wyraźnie, iż nauka ma trwać godzinę, lecz tylko, iż zaczyna się ona codziennie od godz. 2 po południu, wynika to jednak z innego przepisu projektu, który godziny urzędowe dla regenta oznaczał

po południu od 3—7 (XIV., 5). Niedziele i święta były wolne od nauki, być może, iż na każdy z powyższych dwóch przedmiotów przypadały po 3 godziny tygodniowo (§ 14).

Trzecim przedmiotem było prawo polityczne polskie, wykładane na podstawie dzieła Lengnicha. Wykład ten miał być poprzedzony przedstawieniem ogólnych zasad prawa politycznego, jak n. p. o formach rządu, rodzajach władzy. Odnośne ustępy z dzieła Lengnicha miały być objaśniane przepisami prawa obowiązującego, przyczem niektóre ważniejsze konstytucye miały być czytane w całości (per extensum). W związku z prawem politycznem miała być uwzględniona także historya Polski, przyczem regent miał zwracać uwagę kancelarzystów, iż złe użycie praw, nierząd doprowadził do upadku państwa polskiego (§ 20). Na wykład tego przedmiotu była wyznaczona tylko jedna godzina tygodniowo.

Metoda wykładów była tedy egzegetyczna, kancelarzyści mieli wykłady codzienne spisywać i na następnej lekcyi oddawać swe notatki regentowi. Regent zbierał je przez cały miesiąc, poczem przy końcu każdego miesiąca sąd odbywał egzamin. Najlepszy otrzymywał pochwałę sądu, którą wpisywano do księgi kancelarzyskiej; kiedy kancelarzysta z kancelaryi odchodził, wypisywano mu w patencie sądowym jego pochwały i ich liczbę (§ 14, 20).

Regent i susceptant, którzy byliby trzykrotnie oskarżeni o niedopełnienie swych obowiązków co do nauczania kancelarzystów, mieli być oddaleni od swych funkcyj (§ 21).

Prawidłowo winien był kancelarzysta pozostawać w kancelaryi przez lat 4, po ich upływie mógł wprawdzie pozostać i dłużej, mógł jednakże prosić także o zwolnienie ze służby. Wolę swoją wystąpienia z kancelaryi miał kancelarzysta oświadczyć regentowi, który przygotowywał dlań świadectwo, zwane rekomendacyą. W świadectwie tem miały być zaznaczone zarówno postęp kancelarzysty w naukach, jak też jego obyczaje. Rekomendacyę tę miał regent przedłożyć sądowi, który wyznaczał znowu dzień egzaminu i wręczenia t. zw. patentu sądowego kancelarzyście. W oznaczonym dniu miała być rekomendacya odczytana publicznie, potem odbywał się egzamin z historyi, prawa i nauki moralnej, a skoro ten egzamin wypadł pomyślnie, sąd wydawał kancelarzyście patent sądowy. W patencie tym zalecał sąd kancelarzystę królowi i współobywatelom, oświadczając, iż zasłużył on na te względy przez swoją obyczajność i nauki.

Jeżeli regent wystawił kancelarzyście złe świadectwo, mógł kancelarzysta odeprzeć te zarzuty podczas publicznego egzaminu, przyczem regent, jeżeli można mu było udowodnić złą wolę, ulegał karze. O ile kancelarzysta zdołał odeprzeć zarzuty regenta, otrzymywał patent. W przeciwnym razie sąd nakazywał kancelarzyście pozostać jeszcze dla poprawy w kancelaryi przez jeden rok, a po dobrej aplikacyi, wydawał mu patent. Jeżeliby kancelarzysta mimo nakazu sądowego, nie chciał pozostać w kancelaryi jeszcze przez rok, sąd ogłaszał publicznie w gazetach, że kancelarzysta, wychodząc z kancelaryi, patentu nie uzyskał (§ 22).

Patent sądowy zawierał imię i nazwisko kancelarzysty, lata służby kancelaryjnej, pochwały, jakie pozyskał na egzaminach miesięcznych, wpisane do ksiąg kancelarzyskich, w końcu rekomendacyę regenta. Miał on być podpisany i opatrzony pieczęcią sądową. Patent taki winien był kancelarzysta dać wpisać do ksiąg, a oryginał zachować przy sobie (§ 23). Na najbliższym sejmiku tego województwa, gdzie kancelarzysta chciał zamieszkać, miał on przedstawić swój patent marszałkowi sejmikowemu, który go odczytywał publicznie i zalecał zgromadzonym służby kancelarzysty. Poczem zabierał głos sam kancelarzysta, oświadczając, jaki stan sobie wybiera, na jakiem polu chce służyć krajowi. Sejmik wydawał kancelarzyście poświadczenie, iż patent jego został rzeczywiście na sejmiku okazany (§ 24). Uzyskanie takiego patentu było wedle P. Z. nieodzownym warunkiem ubiegania się o wszelkie urzędy, także o urzędy kancelaryjne, susceptanta i regenta, a nadto patrona sądowego. Warunek ten poczynał jednak obowiązywać w pięć lat po ogłoszeniu projektu jako kodeksu (§ 25).

Wedle P. Z., liczba kancelarzystów była w porównaniu z dawnem prawem polskiem bardzo nieznaczna. Projekt nie wspomina wprawdzie o tej liczbie nigdzie wyraźnie, jednakże z jego postanowień o sądzie fikcyjnym, jaki wprowadzał dla nauki kancelarzystów wynika, że najwyżej było ich 6, a czasami tylko 4 w kancelaryi (XXV., 15), podczas gdy dawniej liczba ich przenosiła nawet w jednej kancelaryi cyfrę 70.

Dr. Przemysław Dąbkowski.

„Siła fatalna“ poezyi Słowackiego.

Przyczynek do sławy pośmiertnej poety.

(Ciąg dalszy.)

XI.

Jeszcze w daleko wyższym stopniu da się powiedzieć o pięknym dramacie Lucyana Rydla: *Na marne*, od pierwszej do ostatniej sceny napisanym wierszem i stylem *Nowej Dejaniry*, tak dalece, iż trudno przypuścić, by autor czynił to nieświadomie: raczej nabiera się pewności, iż w tym wypadku zależało mu po prostu na tem, by naśladować język i cały sposób mówienia bohaterów Słowackiego. Albowiem niepodobna iść dalej w posługiwaniu się cudzą manierą.

Dla przykładu wystarczy przytoczyć opowiadanie Majora:

To była nasza młodość! Z moim bratem,
a Jani dziadkiem, w Żytomierzu byłem
w szkołach... Żytomierz! Ojcowie pijarzy!
Mój Boże! pamięć, jak rak: chodzi tyłem...
Gdybyś ty wiedział, ile drogich twarzy
pamięcią widzę, gdy w te lata patrzę!
A ich imiona? zarastają w ziele
i chwast, a czas je za lat parę zatrze
na grobach. „Razem młodzi przyjaciele!“

Dyabła tam razem! po szerokim świecie
poszli w rozsypkę i mijały lata.
i coraz częściej czytałem w gazecie:
„Umarł!“
Lecz młodzież z nas była skrzydlata!...
Pamiętam, byłem wówczas w retoryce...
Tak, w retoryce byłem... Jaś w syntaksie...
Wtem wieść buchnęła, wieść jak błyskawica
nagła, ogromna: Belweder! I jak się
tam było uczyć? ślęczeć w gramatyce,
czy w jeometryi, albo się w Maronie
ćwiczyć? o Troi czytać i Ajaksie?...
Jeśli już o czem, to o Maratonie
lub Termopilach! Wszak ojcowie sami
żyli w gorączce: codzień na mszy rannej
Ksiądz Rektor trochę drżącemi wargami
mówił litanię do Najświętszej Panny,
choć nam nie gadał, na intencyę czyją...
Długie miesiące tak trwało. Aż wreszcie
przyszli! Grzmią trąby i bębny marsz biją:
cała brygada! Co za radość w mieście,
a cóż dopiero u nas! W pół godziny
konwikt był pusty, bo nawet z infimy
wszyscy pobiegli: ot, takie chłopczyny!
„Z czem przychodzicie?“ „Służyć przychodzimy.“
„Wy? Do konwiktu! Cóż po was, pędraki?!“
Nic nie pomogło: aż starszych pobrali
w rekruty. Ciężył karabin, lecz taki
byłem szczęśliwy i dumny!

Zaczarowane koło Rydla, rodzajem fantazyi najbardziej przypominające Balladynę, pod względem formy wiersza uderzająco podobne jest do Snu srebrnego Salomei, czem zresztą — jeśli o wiersz idzie — odznaczają się i Jeńcy, których bohaterowie zupełnie mówią językiem bohaterów Księdza Marka Słowackiego.

Artur Oppman, choć przedewszystkiem jest poetą Starej Warszawy, również niejeden raz Słowackiemu zawdzięczał swe natchnienie. Wśród jego erotyków nie brak takich, na których mniej lub więcej wyraźnie dałby się wykazać wpływ lirycznych ustępów Beniowskiego lub W Szwajcaryi, a lubo ten wpływ czasem potrafi się skryć dość głęboko, to jednak czasami ujawnia się bardzo przejrzyście, przykładem poemacik erotyczny p. t. Kwiat paproci, opiewający sielankową miłość poety do jakiejś panienki z okienka, a w którym rozdział II. nie jest niczem innem, tylko

wirtuozowską waryacyą na temat: „pójdziemy razem na śniegu korony“.

Pójdź ze mną razem na szczyty gór,
Pójdź ze mną razem w doliny stok,
Pójdź ze mną razem za płaszcze chmur,
Pójdź ze mną razem, gdzie wiedzie wzrok!

Pójdź ze mną razem w potworny świat,
Dyszący gniewem i falą krwi;
Pójdź ze mną razem w bieli swych szat
Na nieskończone męczeństwa dni.
. . . .

Nie tak bijącym w oczy, ale niemniej niewątpliwym jest wpływ Pogrzebu kapitana Słowackiego na Pogrzeb poety Oppmana; bo jakkolwiek Słowacki co innego pragnął uwydatnić w swym wierszu, mianowicie rozdzierający ból patryotyczny na widok tragedyi bohatera-emigranta, a Or-ot nie wychodził po za zakres tragedyi jednostki, to jednak obraz i tu i tam jest ten sam, a prawie można być pewnym, iż gdyby nie przejmujący wiersz Słowackiego, autor Starego Miasta możeby tak nie odczuł smutku, jaki towarzyszył temu pogrzebowi poety-samobójcy. Co nie ulega wątpliwości, iż oba wiersze mają wiele cech pokrewnych, a nawet zaczynają się podobnie.

Pogrzeb kapitana zaczyna się obrazem wynoszonej ze szpitala trumny:

Wzieliśmy biedną trumnę ze szpitala,
Do żebraczego mieli rzucić dołu.

Pogrzeb poety zaczyna się podobnym obrazem, z tą różnicą jedynie, iż u Słowackiego wynoszą trumnę ze szpitala, a u Oppmana z domu, co nie przeszkadza jednak, że patos, z jakiem poeta opisuje tę chwilę, niewątpliwie jest natchniony patetycznością wiersza Słowackiego.

I wzięli trumnę, w kwietnych wiankach całą,
Z izby, gdzie krwawe rozgrało się starcie.
I wzięli trumnę, w której cicho spało
To, co robactwu idzie na pożarcie.
I wzięli trumnę, nie dziewiczo-białą,
Ale mówiącą hardo i otwarcie,
Że kryje serce szlachetne i dumne:
Trumnę bez krzyża, samobójcy trumnę.

I nie w kramarskiej wynieśli ją pysze:
Majestat grobu miała w sobie ona,
I szła za trumną w jakąś wielką ciszę
Dziwnie uboga i osamotniona
I nie druhowie, ani towarzysze.
Ale najemne niosły ją ramiona:
I taki smutek od niej wiał bezmierny..
On jeden został umarłemu wierny.

. . . .

Są również wiersze Oppmana, w których nietrudno dosłyszeć oddalone echo Hymnu Słowackiego: Smutno mi, Boże! Do tej kategoryi da się zaliczyć choćby następujący wierszyk:

Smutno mi... widzę ptaki wyrzucone z gniazda,
Widzę kwiaty, co kwitną, by zwiędnąć przedwcześnie;
Smutno mi... na błękitach nie lśni żadna gwiazda:
A świat nurza się w mroku i zamiera we śnie.

Smutno mi... widzę usta, które pragną śpiewać.
A pieśniom z tych ust drżących nie wolno wypłynąć:
Smutno mi... wiecznie tęsknić, wiecznie łzy wylewać
I nie módz młodych skrzydeł do lotu rozwinąć!...

Z tych samych uczuć zrodziła się rzewna Modlitwa, w której tęsknota i smutek wiele mają wspólnego z tęsknym nastrojem Słowackiego na morzu, gdy pisał swoje Smutno mi, Boże!

Gdy ginę, życia strudzony wojną,
Jako rozbitek na falach morza,
Daj strapionemu przystań spokojną,
O. Matko Boża!

Gdy schnę z tęsknoty [1]), jak liche zielsko,
Zamiast w błękitne rwać się przestworza,
Daj mi miłości rosę anielską,
O, Matko Boża!

Gdy przyjdzie straszna próby godzina
I może będę iść na bezdroża,
Daj mi widzenie mąk Twego Syna,
O, Matko Boża!

---

[1]) Słowacki W Szwajcaryi powiada: Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.

Gdy mdleje serce w nocnej żałobie,
A tak daleko poranna zorza,
Daj mi tę zorzę, choć w śnie, choć w grobie.
O, Matko Boża!

Czytając erotyk Oppmana p. t. W rozłące, od pierwszej chwili ma się wrażenie, że zkądciś zna się melodyę tego wiersza, że nie pierwszy raz słyszy się te żałosne tony. I niebawem przypomina się Rozłączenie Słowackiego, napisane pod wpływem rozłąki z Maryą Wodzińską, a uderzająco podobne do tej smętniejszej nieco, ale nie tak namiętnej, jak pierwowzór, Rozłąki.

Na jedną chhwilę błysłaś mi, jedyna,
Jak złota gwiazda na pochmurnem niebie,
A oto znowu utraciłem ciebie,
I znowu losy serce me przeklina.

Przeklina losy, co, niemiłosierne,
Wciąż krwawią nigdy niezgojoną ranę
I dzielą serca i duchy zbratane,
Te serca dumne i te duchy wierne.

Bo wiem, że duch twój zawsze memu wierny,
Bo wiem, że serce twe dumne, jak moje;
Na twarzy nosisz nieczułości zbroję,
Ale twą piersią targa ból niezmierny.[1])

. . . .

Nieraz wspomnienia duszę twoją smucą,
Wspomnienia wiosny, strojnej w kwiecia tyle:
Chcesz je odepchnąć... znikają na chwilę...
Nie wierz odlotom wspomnień... one wrócą...

Zniknąłś!... Lecz chociaż wokół pustka głucha,
Choć znów me słonko w chmurach się schowało[2]),
Jednak cię widzę tak świętą, tak białą,
Widzę cię zawsze okiem mego ducha.

. . . .

[1]) U Słowackiego:

Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz, w cichej komnacie zamknięta,
Wiem, o jakiej godzinie wraca bólu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska..

. . . .

Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać.

. . . .

[2]) U Słowackiego:
A ty wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem;
Lecz choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy...

Okazuje się tedy, iż „siła fatalna“ poezyi Słowackiego i na twórczości Or-ota nieraz wycisnęła swe niezawodne piętno.

XII.

Uległ także i Jerzy Żuławski, zwłaszcza w swych Stancach o pieśni, pisanych nietylko oktawą na wzór Beniowskiego, ale i hołdujących tej samej kaprysnej Muzie, w której Słowacki okazał się tak niedościgniony m.

Już pierwsza oktawa tych Stanc pisana jest z myślą o Słowackim:

Pieśń mię nie nęci, która tylko jęczy,
Gdzie śpiewak własne tylko śpiewa bóle,
W której ogromne serce nie zadźwięczy,
Ni się odezwą wielkie Duchy-Króle:
A jeśli błyśnie czasem rąbkiem tęczy,
To zaraz gaśnie w tej rzeczułki mule,
Z której wybłysła, jak brama barwista,
Ale daleka i zimna i mglista.

Ale nietylko w tej pierwszej oktawie przytomnym jest Słowacki ze swą poezyą: oktawy VII. do X., mówiące o zamarciu pieśni wśród „znikczemniałego epigonów plemienia“, oparte są na obrazie z Lilli Wenedy.

Oto są harfy naszych mistrzów stare,
Harfy pomarłych Derwidów zaklęte,
Na których oni swą miłość i wiarę
Śpiewając, w boje prowadzili święte,
I wielką, krwawą spełniając ofiarę,
Na stosach ludy palili wyrżnięte;
Lub kładąc palce na Zabitej [1]) włosy,
Wielkie, bolesne dobywali głosy...

Lecz któż dziś ruszy harf tych święte łona?
Pył już wiekowy przysiadł brzmiące struny:
Pieśń, co z nich brzmiała, w echa kędyś kona...
Dziś już na stosy nie lecą pioruny [2]).

---

[1]) Lilli Wenedy, a właściwie Polski.

[2]) Jak w ostatniej scenie Lilli Wenedy.

Ani rycerzy grześć będzie natchniona-
Wróżka [1]), pisząca na kamieniach runy
Sławy, i ojca klnąca, że u wroga
Zostawił harfę, a w niej ludu Boga.

O! są te harfy, jak cedrowe trumny,
A pieśń, jak mumia, śpi w nich i śni może...
Może się pieśni z granitu kolumny
Marzą i ranne po nad niemi zorze.
I okrzyk jakiś ogromny i dumny,
Wywołujący słońce na przestworze
Niebios, i ziemia ze snu się budząca...
Takie sny może pieśń ma w harfie brzmiąca.

„Lecz kto ją zbudzi? Kto jej powstać każe?“ Kto tego dokaże po Ujejskim i Asnyku, z których pierwszy „wołał głosem Jeremiasza“, a drugi „na grobach śnił“. Poeci, którzy nastąpili po nich, nie wierzący w moc poezyi, a głoszący jej zgon, nie są siłą twórczą, oni tej uśpionej pieśni nie zbudzą. Rola ta musi przypaść najmłodszemu pokoleniu poetów, do którego właśnie zaliczał się wraz z innymi Żuławski. A gdy mu przyszło nawoływać „do pieśni, do czynu“, wówczas w LXXV. i LXXVI. oktawie znów do tego użył obrazu, zapożyczonego z Lilli Wenedy.

My jak Wenedów odrodzone plemię
Na bój ostatni w piorunowej nocy
Wstaniem, by podłe jarzma zrzucić brzemię;
Lecz pieśń nam jedna może dodać mocy,
Nad miedź silniejsza, wzruszająca ziemię
Potęgą, którą władali prorocy:
I cała walka na nic się nie przyda,
Jeśli nie zabrzmi święta pieśń Derwida!

Ale nasz Derwid, to nie gołąb siwy,
Któremu z głowy włos odarły gromy;
To nie na kosach córki nieszczęśliwy
Starzec, grający śmierci, niewidomy:
Nasz Derwid w wieńcu płomienistej grzywy
Słonecznem okiem patrzący w ogromy
Światów, a z czołem, tonącem w błękicie;
Pieśń jego będzie nie na śmierć, lecz życie!

Tak zapatrując się na życiodajną rolę poezyi w naszem życiu narodowem, Żuławski zwalczał te kierunki poezyi, które tchnęły

[1]) Rosa Weneda.

pesymizmem i zwątpieniem; to też gdy Tetmajer napisał wiersz p. t. Kwestya polska, a w tym wierszu wypowiedział przekonanie, że

wszelka nadzieja zawiodła,
Wszystkie się wiary okazały niczem,
Mocy nie miały w sobie żadne godła
I wszystko było marzeniem zwodniczem,

Żuławski, oburzony takim beznadziejnym poglądem, napisał pełną zapału Odpowiedź, w której jak Słowacki odpowiadający Krasińskiemu, użył — w bardzo fortunny sposób — wypróbowanej do podobnych polemik poetyckich formy wiersza Do autora Trzech psalmów:

Więc nadzieja, mówisz, zgasła?
Więc przebrzmiały wszystkie hasła,
I rozpaczy już jedynie
Trzeba nam się oddać ninie?
Nie tak, bracie, nie! pieśniarzu!
Póki płoną na ołtarzu
Całopalnych ofiar dymy,
Póki mowy dźwięk rodzimy
Strojny w gwiazdy, strojny w rymy,
Ogniem wzdyma piersi wieszcze,
Póki ducha lśnią sztandary:
Nam nie wolno zbywać wiary,
Polska nie zginęła jeszcze!

To nie mrzonką, nie marzeniem:
To jest prawdą, to spełnieniem
Dziejów, co się wiecznem kołem
Toczą ziemskim tym padołem,
I dowodzą, że nie zmarła
Pierś, co pieśni jeszcze sieje,
Z której przemoc nie wydarła
Słów ojczystych, ni nadzieje!

W co więc wierzyć? ty się pytasz?!
O, mój bracie, czy nie czytasz
W pieśniach własnych mocy ducha,
Co z pod więzów, z pod obucha
Jeszcze wstaje, błyszczy jeszcze,
Jeszcze tęcze ma i słońca,
Natchnień ognie, proroctw dreszcze?
To nadzieja i obrońca!

Nasza mowa, to jest arka:
My wypłyniem w niej z powodzi,
A gdy fala spadnie szparka,
Kiedy wolność się narodzi
I jak tęcza po błękicie
Wszystkim ludom wraz zaświeci
Nad chmurami tych stuleci,
W strupieszałej ziemi życie
Zadrga nowe, uścisk bratni
Złączy ludy zawsze, wszędzie:
To ja-ć mówię, że nie będzie
Naród polski tam ostatni!

. . . .

Jeno pieśni nam potrzeba,
Coby rodem była z nieba!

O kulcie, którym Żuławski zawsze był przejęty dla Słowackiego, wymownie świadczyły także i jego cenne studya literackie, poświęcone autorowi Beniowskiego.

Jaki dlań kult żywi Władysław Bukowiński, o tem przekonywa chociażby tylko jego wiersz p. t. W mym pokoju, zaczynający się od takiego wyznania:

W mym pokoiku, na wsi głuchej,
Wisi portret Słowackiego,
Bo od dziecka czcić przywykłem
Jego pieśni, Ducha jego.

W mym pokoju, tuż przy łóżku,
Półkę sporą umieszczono,
Na niej rzędem stoi w zgodzie
Ulubionych wieszczów grono.

Więc wyciągnąć tylko rękę,
I zachwyca się wnet dusza
Oktawami Beniowskiego..

Że te „oktawy Beniowskiego“ wywierały zawsze wpływ fascynujący, na to nie brak dowodów w różnych zbiórkach jego poezyj, gdzie oktaw à la Beniowski spotyka się wcale sporą liczbę. Tak n. p. Nowy zeszyt zaraz na pierwszem miejscu przynosi efektowny Fragment oktawą, zupełnie w stylu dygresyj lirycznych z Beniowskiego:

Mógłbym się w blaski odziać księżycowe
I gwiazdy złote wziąć za swe pochodnie,

I miejsca zwiedzać te straszne, grobowe,
I odkopywać z mogił ojców zbrodnie,
Albo przeszłości w laury wieńczyć głowę,
Gdyby wołano, że czynię wyrodnie...
Mógłbym w noc ciemną po cmentarzach błądzić
I tych, co byli już w mogiłach, sądzić.

O, bo nie myślcie, widząc na mej twarzy
Bladość marmuru, i cichość, i chłody,
Że tam gdzieś wewnątrz nic się już nie żarzy,
Żem jest jak jeleń bojaźliwy, młody,
Co po za siebie spojrzeć się nie waży..
O nie! Ja chodzę na te w gruzach grody
I każdy kamień do rąk własnych biorę
I ważę, kładąc na swe serce chore.

. . . .

Więc na cmentarze w północną godzinę
Szedłbym i, dążąc romantyków śladem,
Z mogił bym larwy wywoływał sine
W oponach krwawych, o obliczu bladem...
Każda za swoją jęczałaby winę,
Każdaby z gadów nosiła dyadem,
O przebaczenie wciąż błagała nieba
I wciąż słyszała: „Jeszcze cierpieć trzeba!"

Mógłbym się w szatę przyodziać epiczną
I, niby Homer, śpiewać epopeję,
Strofom nadałbym formę daktyliczną,
Przy końcu wierszy umieszczał trocheje,
Słuchaczów ciżbę zgromadziwszy liczną,
Takbym rozpoczął: „Śpiewam smutne dzieje
Zburzonych świątyń, zapadłych cmentarzy,
Natchnieniem Muza niechaj mnie obdarzy!"

Mógłbym... Lecz wszystko to już formy stare,
A takich pieśni nikt dzisiaj nie słucha,
Więc, nim przebrzmiałoby strof śpiewnych parę,
Wkoło żywego już nie miałbym ducha.
Pragnąc goryczy tej odwrócić czarę,
Dopóki pora, choć nadzieja krucha,
Cofnę się z drogi i wejdę na inną:
Powieść wam prawić zacznę.. mniej dziecinną.

„Oktawą Beniowskiego" również pisane jest serdeczne Pożegnanie Warszawy, przyczem godzi się podkreślić, iż Bukowiński tą kunsztowną formą włada po mistrzowsku, wcale nie gorzej od swego uwielbianego mistrza.

Wędrowiec wieczny na szlakach żywota
Znowu cię żegnam dzisiaj, o Warszawo!
Zanim nad tobą błyśnie zorza złota,
Zanim wschód smugą zapłoni się krwawą.
Znów za mną twoje zatrzasną się wrota
I klucz we wrotach warknie głucho, rdzawo,
Niby zgrzytliwe pożegnanie trumny,
Które nad grobem słyszy orszak tłumny.

A choć za nami nie zostają groby
I da Bóg trumien nie będzie przed nami,
Trudno się z tobą rozstać bez żałoby,
Trudno rozstania chwil nie zrosić łzami...
Ach! bo na świecie nie ma syna, coby
Choć go nieznana przyszłość nęci, mami,
Łzy nie uronił na zmarszczone ręce
Matki, łkającej w pożegnania męce.

Ty zaś, Warszawo, przez lat wiele matką
Byłaś mi, matką, która syny garnie,
A choć u stóp twoich płakałem nierzadko,
To nie przez ciebie, lecz przez twe męczarnie,
Przez łzy, co lica twe zorały siatką,
Przez krew tę, którą wciąż broczysz... bezkarnie,
Przez pohańbienie twe i te niedolę,
Której z nas każdy ma stygmat na czole.

Alpejskie szczyty witają mnie zdala
I czarem nęcą południowe morza.
Znów, zda się, szumi Adryatyku fala,
Nad Akropolem znów śmieje się zorza,
Znów okręt morskie odmęty przewala,
Śródziemnomorskich fal prując przestworza,
I piramidy kłaniają się dumnie,
Z czterdziestu wieków wyżyn patrząc ku mnie.

Poematem atoli, który Bukowiński naśladuje najchętniej i z największem powodzeniem, kontynuując niejako wątek, zadzierżgnięty przez Słowackiego, jest P o d r ó ż n a W s c h ó d. Zarzucano to nawet Bukowińskiemu, że w naśladowaniu tem idzie za daleko, że zbyt niewolniczo trzyma się niedoścignionego wzoru, że przez to na szwank naraża swą oryginalność; ale to go nie powstrzymało od kroczenia po tej drodze, a nawet w poemacie E c h a, opisującym podróż do Egiptu, natchnęło do kilku dowcipnych strof na temat krytyki, wytykającej mu ten poetycki grzech.

Ach! wiem, że kiedyś przez te wody
Do tegoż portu, tejże ziemi
Egipskiej, płynął Juliusz młody
I sekstynami czarownemi
Pisał, być może, Podróż wschodnią,
Której wpływ ma być moją zbrodnią.

Tę zbrodnię biorę na swe bary.
Niech tam! Wyznaję dziś otwarcie,
Że wielbię pieśni jego czary,
Żem zakochany w każdej karcie,
Na którą, niby Atalanty
Jabłka, siał złoto i brylanty.

Choć z drugiej strony wspomnieć muszę,
Że strofy me to serca spowiedź,
Że w nich wam własną daję duszę...
Twierdzisz inaczej? proszę, dowiedź,
Lub szczerze powiem ci, kolego,
Żeś, jako krytyk, do niczego.

Słowacki... Jego wielbicieli
Krąg z każdym rokiem dzisiaj wzrasta...
Lecz nim pieśń jego wyanieli
Zjadaczów chleba, mięsa, ciasta,
Niejeden Tretiak tam, w Ojczyźnie,
Na tęcze jego błotem bryźnie.

I niejeden poeta też, zahypnotyzowany pięknością poezyi Słowackiego, będzie pisał wiersze a la Słowacki, z czego mu potem krytycy, zawsze doszukujący się dziury na całem, będą czynili wyrzuty. Ponieważ i Bukowiński wie coś o tem, więc nie omieszkał zareagować na to w Pieśni II. swych Ech, które właściwiej powinny nosić tytuł: Podróż do Egiptu.

Krytykom pozostawię
Zasługę wszystkich odszukania
Wzorów, co na mnie wpływ wywarły
W poezyi żywej lub umarłej.

To ich rzemiosło i zadanie
W utworach nowych widzieć zawsze
Pomysłów cudzych zmartwychwstanie
Lub, gdy wyroki są łaskawsze,
Uległość wpływom wieszczów dawnych,
Wielbionych, czczonych, wielkich, sławnych

Lecz cóż my winni, że fatalność
Żyć nam kazała w takim czasie,
Gdy rzadki ptak-oryginalność,
Gdy poprzedników legion ma się,
Z któremi w formie lub pomyśle
Każdy się spotka, mówiąc ściśle.

Choć oni wobec nas olbrzymy,
Lecz uczuć wspólnych mamy wiele.
Do celów ich i my dążymy.
I my się modlim w ich kościele,
I z nas niejeden pióro macza
W sercu: ojcostwo czas wyznacza.

Ach! czytelniku, źle cię wiodę,
We mgle nam zginął cel podróży.
Spróbujmy jednak zawrzeć zgodę,
I niech się czoło twe rozchmurzy,
Znów, niby ptaki dwa, pomkniemy,
Wymowny jeden, drugi niemy!

Na błędną drogę swoją wrócę,
Choć znów-Arystarch warknie który,
Że, pisząc, grzeszę przeciw sztuce,
Że wiersze moje, istne wióry,
W najlepszym razie są, o zgrozo!
Zwyczajną tylko, nędzną prozą...

Przybywszy do Egiptu, jeszcze i tu nie zapomina Bukowiński, że kraj ten zwiedzał w swoim czasie Słowacki, że nietylko opisał Odwiedziny piramid i miał specyalną Rozmowę z piramidami, ale nawet „na piramidzie“ tfu! otrzymał listowną wiadomość o swej kochance szwajcarskiej, że za mąż idzie! Wiele tu zmieniło się od tego czasu, a dzisiejszy podróżny, kiedy z Kairu wybiera się na piramidy, inaczej odbywa tę drogę. Przekonał się o tem naocznie Bukowiński, czemu taki w VII. pieśni swych Ech dał wyraz:

Kiedy przed laty — dość już dawno —
Autor Kordyana, Balladyny
Odbywał na wschód podróż sławną,
I swe piramid odwiedziny
Opiewał w cudnej natchnień chwili,
Nie tak, jak dzisiaj, ludzie żyli.

I przez pustynię do piramid
Inaczej podróż odbywano.

Dziś elektryczność i dynamit
Zwiastują dziejom nowe rano,
Zmieniając szybko wygląd świata:
Dla romantyków wielka strata!

Dziś nie osiołek hyży, płowy,
Jak łódź przez piaski ze mną płynie,
Lecz elektryczny tramway nowy,
Który kulturę na pustynię
Zawozi dziesięć wazy co dnia.
Wobec poezyi jest to zbrodnia.

Oprócz Ech, w których całym nastroju, bo nietylko w formie sekstyny, wciąż słyszy się echa Podróży na Wschód, napisał Bukowiński jeszcze jeden poemat sekstyną, wiernie naśladującą sekstyny pomienionego poematu Słowackiego, mianowicie „poemat liryczny“ p. t. Na greckiej fali. Jest to opis romansowej podróży po Grecyi z kochanką, zdaje się spotkaną w drodze, bo w Salaminie – jeżeli wierzyć poematowi — wypadło poecie rozstać się z nią na zawsze. Co nie ulega wątpliwości, że w utworze tym, bardzo wartościowym pod względem poetyckim, egzaltowany i płomienny erotyzm przeplata doznawane wrażenia podróżnicze, i że o ile pierwszy niewątpliwie przypomina Słowackiego W Szwajcaryi (pomimo formy sekstyny), o tyle drugie najwyraźniej i bez żadnej ceremonii wzorują się na jego Podróży na Wschód.

Wypływając razem z ukochaną z Salonik poeta — a raczej bohater poematu — rozumuje tak samo, jak kochanek Słowackiego, gdy tłumaczył kochance, że

jeśli z takiej nie wrócimy góry,
Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy,

i łatwo pogodzą się z tą myślą, z tem ich tajemniczem zniknięciem. Tak samo w poemacie Bukowińshiego; w chwili, gdy statek ma odbić od brzegu, gdy „z kajut na pokład wybiega kto żywy“, by raz jeszcze pożegnać spojrzeniem „bliskich garstkę drogą“,

my na brzegu nie mamy nikogo.

Tem lepiej! Cały świat niesiemy z sobą...
Choćbyśmy nigdy nie wrócili z drogi
Niczyjej duszy nie zmroczym żałobą.

Jak za kochankami W Szwajcaryi, gdy pływali po jeziorze genewskiem, za ich łódką ciągnęły „rybek korowody“ i gołębie, podobnie i tu, Na greckiej fali, gdy okręt unosi szczęśliwych zakochanych

Tylko gromadka śnieżnych mew swawolna,
Jakgdyby w pogoń wyrusza za nami
I za okrętem, jak chorągiew biała,
Ciągnie, na pokład wpadając bez mała.

Lecz już i one wydążyć nie mogą.
Żałosnym krzykiem żegnają nasz statek,
Jakby nam słały w mrok, przed długą drogą,
Jakieś lamenty sióstr, kochanek, matek.
Zniknęły. Tylko jedna z mew, uparta,
Czuwa nad nami wciąż, jak wierna warta.

Patrząc tak na nią, wśród powietrznej sieci,
Gdy, niby gwiazda, blask rzucała z góry,
Myślałem, że to duch twój biały leci,
Przecudne ciała rzuciwszy marmury,
I że wnet, kształty przybrawszy anioła,
I mnie w powietrzny taki lot powoła.

Bohater Słowackiego opowiada o swoich dniach szczęścia z ukochaną:

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami,
I nic nie wiem, czy tam była łódź pod nami.

Podobne chwile szczęścia i upojenia. w dali od ludzi, przeżywają kochankowie Na greckiej fali, płynąc w stronę Aten.

Błękitna fala ciemne bierze tony,
Gnieniegdzie tylko srebrna błyśnie smuga,
Za nami przestwór morza niezmierzony

. . . .

Dokoła cisza otacza nas głucha,
Niebo, jak wielka świątynia miłości,
Kopułę skrzącą roztacza nad nami,
Płyniemy razem, zakochani, sami.

Ach! w takiej chwili próżnych słów nie trzeba!
Patrz! Na powierzchnię morza granatową
Brylanty lecą z płonącego nieba,
By się w twych oczach zapalać na nowo,
Gdzie już głąb morska zawarła swe tonie...
Te oczy cudne daj!... te usta... dłonie...

Bohater W Szwajcaryi, zachwycony widokiem swej kochanki na tle jeziora, powiada wniebowzięty:

Była jeziora błękitnego panią,
Płynęła lecąc, łódź leciała za nią.
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem,
Za tą jasnością rybek korowody
I wyrzucały się aż do niej z wody,
I z takimeśmy płynęli orszakiem,
Uśmiechając się w błękitu krainie.
Bo ona była, jak wodne boginie:
Miała powozy z delfinów, z gołębi.

Podobny obraz szczęścia nad błękitami wód kreśli bohater Podkowińskiego, przyczem nietylko operuje pokrewnymi obrazami, ale i wyrażeń czasem używa tych samych. Niedość bowiem, że go kochanka

jak fali królowa i pani
Na chwilę krótką wyrwała z otchłani

z otchłani samotności i smutku; ale nadto, gdy tak płynęli po greckiem morzu, towarzyszył im... orszak delfinów.

Za lśniącą w słońcu złotych skał plejadą
Coś zamąciło nagle wód błękity.
Ach! To delfinów igrających stado,
Jak komet hufiec, strąconych z orbity,
Goniąc się, kłębiąc wśród piany odmętu,
W wesołych pląsach zmierza do okrętu.

Srebrne zjawisko, honorową wartę
Tworząc, chwil kilka przed okrętem goni
Aż wreszcie na bok przez statek odparte,
Nim w lazurowej ukryło się toni,
Jeszcze raz błysło srebrnemi piersiami,
Jakby mu było żal rozstać się z nami.

Patrząc na ciebie w tym dziwnym orszaku,
Stałem przez chwilę z podziwienia niemy,
Zdawało mi się, mój złocisty ptaku,
Że te delfiny, widząc, jak płyniemy
Umyślnie spadły z brylantową rosą
I pozdrowienie od fal tobie niosą.

Jak W Szwajcaryi raz „przed Tella kościołem“ bohaterka „pierwsza na kamień wyskoczyła płocha“, podobnie i w tym

poemacie Bukowińskiego urocza towarzyszka podróży, gdy okręt w pirejskiej przystani przybił do lądu.

Na brzeg, spłoniona w cudownej podzięce,
Skoczyła lekko, niby młoda sarna.

Bohater W Szwajcaryi, po utracie swej lubej, „kiedy się myślą w przeszłości zagłębia, nie wie, jak sobie jej postać malować", i siedząc w blaskach miesięcznych, zasłuchany w szum fontanny, myśli tylko o tem, że „gdy pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą", księżyc wywabi mu duszę z ciała, ażeby uleciała w przestwory niebieskie, a tam połączyła się z ukochaną. Podobnych uczuć, po rozłączeniu się ze swą „rusałką", doznaje bohater Bukowińskiego, z tą różnicą jedynie, iż kochanek Słowackiego, rozmyślając o niedawno przeżytych dniach szczęścia, patrzy na „lecące po niebie łabędzie", podczas kiedy podróżnik Selima, stojąc smutny po odjeździe ukochanej, „nad Salaminy falą" nie łabędzie, lecz „tanecznice mewy wzrokiem goni".

Cisza dokoła. Znikło słońce moje
I w duszy pusto, ciężko, jak po skonie,
A fala bóle najcięższe kojąca,
Wabiąc w głąb modrą, o stopy me trąca...

I ma się wrażenie, że autor o mało co nie powiedział do tej greckiej fali: „Falo, niewierna falo, a tak wierna!" Bądź co bądź, ostatnie strofy poematu, wyrażające tęsknotę za utraconą kochanką, nieraz potrącają o te same struny, których melancholijny dźwięk zna się z ostatnich strof W Szwajcaryi.

Godziny szczęścia mkną, jak wartkie fale,
Lecz w niepamięci nie wpadają morze;
Wspomnienia o nich wracać będą stale
I nieraz, nieraz, o wieczornej porze,
Gdy rozłączeni będziemy i sami,
O serca nasze bić będą skrzydłami.

Twój obraz zarył się głęboko w duszy...
I ty mojego nie wyrwiesz z pamięci

. . . .

Na księżycowym promieniu, w róż woni,
Spływać do ciebie będę w nocnej ciszy,
Wspomnienie w przyszłość za tobą pogoni
I znowu duch twój cichy szept usłyszy,
Którym cię będę pozdrawiał w noc ciemną...

. . . .

W końcu dusze ich, spotkawszy się gdzieś w przestworzach niebieskich, „w gwiazdę się wspólną na wieki połączą“.

Ale choć upojony miłością i szczęściem i przeżywanemi wrażeniami wśród ruin Akropolu, kochanek Bukowińskiego, a w tym wypadku sam poeta, nie zapomina, że na te ruiny przed laty poglądał i Słowacki. Przypomina mu go pomnik Byrona, oglądany „w parku zieleni“ przy świetle księżyca: a że myśląc o Byronie, mimowoli myśli się i o Słowackim, więc to przypomnienie natchnęło Bukowińskiemu następujące strofy:

Od dni najpierwszych mej chmurnej młodości
Czciłem cię, wielki poeto Albionu,
Samotny piewco dumy i wolności,
Duchu szlachetny i smutny do skonu!
A choć niejedna życia światłość zgasła,
Płoną mi dotąd, jak gwiazdy twe hasła.

Więc w tę miesięczną noc na greckiej ziemi
Przed twym posągiem, wykutym w marmurze,
Staję i rzucam rękoma drżącemi
Do stóp twych dzikie Akropolu róże.
Duch mój, zbłąkany, jak ptak, w życia matni,
Składa ci dzisiaj może hołd ostatni.

Lecz jeszcze jeden cień wielki i święty
Przeleciał cicho w gwiazd i tęcz koronie.
W oczach mu płoną natchnienia dyamenty,
I cały niby duch światłości, płonie,
Z Hellady właśnie na północ daleką
Wraca, wpatrzony w wielkie trumny wieko.

Tyżeś to, krain fantastycznych panie,
Królu melodyi, barw, tęcz i promieni!
Wędrujesz cicho po gwiaździstym łanie,
Co w brylantowych blaskach skrzy się, mieni,
I — zda się — słyszę w podniebnym przestworze
Twą nieśmiertelną pieśń: „Smutno mi, Boże!“

Twą nieśmiertelną skargę-pieśń znów słyszę,
Która z mych oczu zawsze łzy wyciska.
Ach! I mnie odejść czas w tę srebrną ciszę,
I mnie otwiera się mogiła bliska...
Najgłębsze struny duszy pieśń potrąca,
Z oczu się stacza znowu łza gorąca...

Do jakiego stopnia Bukowiński umie utrafiać w ironizujący ton *Podróży na Wschód*, niech zaświadczy parę strof z jego

listu do Stefana Żeromskiego Z nad brzegów Nilu. Gdyby niepewne pojęcia nowoczesne, czytelnik łatwo mógłby mieć złudzenie, że to jakieś mniej znane fragmenty z poematu Słowackiego:

Są ciernie w życiu, jest i kwiecie,
Ach! często bywa nie najgorzej..
Sprzykrzywszy sobie marne krecie
Istnienie, jakie wiodą chorzy,
Skąpałem się w pustyni pyle,
Dotarłszy aż do świątyń Phylae

Cudowna podróż! Ze mną razem
Biegła błękitna Nilu wstęga
W girlandzie palm. A drogowskazem,
Który do chmur nieledwie sięga,
Był zrazu grób Cheopsa, potem
Daszur, Sakkara w słońcu złotem.

O zawartości zmarłych pola,
Koło „schodowej“ piramidy,
Powiedzą wam, gdy wiedzieć wola,
Baedeker albo inne gidy,
Dla rymu biorę ze słownika
Ten wyraz, zamiast przewodnika.

Do Abydosu i Dendery
Prowadzić chciałbym was czemprędzej,
Lub do stubarwnych Teb, gdzie cztery
Doby w tęczowej marzeń przędzy
Spędziłem, groby i pylony
Świątyń zwiedzając zachwycony.

. . . .

Ach! wiem, że mniej praktycznie czynię,
Pieszcząc oczyma palm korony,
Lub biegnąc wzrokiem hen, w pustynię,
Przez którą wielbłąd objuczony,
Brnąc w piasku, tonąc w morzu ciszy,
Prowadzi szereg towarzyszy.

Lecz już podobno w praktyczności
Nieprędko nas wykształci życie,
Do cnoty tej mój duch nie rości
Pretensyi, za co los sowicie
Karze go rzędem dekonfitur...
Ha! Trudno... „*Sic ad astra itur*“

Mknie smok żelazny. Jak stalowe
Dwa węże, szyny za nim gonią,
Zda się, przechylić tylko głowę

I głaskałbyś ich grzbiety dłonią,
Nie chcąc dopuścić tej pieszczoty,
Sypią ci w oczy piasek złoty.

Nic to, to tylko Nilu czary
I smukłych palm zielone gaje
Przez złote widzisz okulary,
I złotym świat ci się wydaje.
A wkoło na nim same cudy...
. . . .

Cokolwiek da się powiedzieć o tym stopniu naśladownictwa: jedno zeń wynika logicznie, to wielki kult Bukowińskiego dla Słowackiego, prawie bezgraniczny.[1])

---

[1]) Pisząc ten rozdział o poezyach Wład. Bukowińskiego, nie miałem możności korzystania z jego pierwszego tomu p. t. Z marzeń i życia, w którym niewątpliwie muszą znajdować się wiersze w rodzaju Słowackiego. Niestety, książki tej nie mogłem nigdzie znaleźć w Krakowie. Nie posiada jej nawet Biblioteka Jagiellońska.

Już to wogóle nie może być mowy w tem studyum o wyczerpaniu tego przedmiotu. Nawet nie mam ambicyi w tym kierunku.

FERDYNAND HOESICK.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zygmunt Kaczkowski

i jego czasy.

(Na podstawie źródeł i materyałów rękopiśmiennych.)

(Ciąg dalszy.)

Że o napisaniu takiego pamfletu pomyślał zaraz po upadku swej kandydatury, najlepszym dowodem jest list Kaczkowskiego, pisany z Baden pod Wiedniem do Sewetyna Smarzewskiego z dnia 5 lipca 1882 r.[1]. W liście tym czytamy: „Przypominasz sobie, że jeszcze przed kilku laty wspomniałem Ci, iż mam zamiar napisać książkę, w której chcę zestawić i wyświecić główne pomyłki, błędy i występki (sic!) Stańczyków. Wychodziłem z tego przekonania, iż chociaż w tej książce może nic nowego nie powiem, jednak może łatwiej czytelników przekonam, raz dlatego, że dam memu wykładowi stosowniejszą i dla większego ogółu przystępniejszą formę, niżeli inni piszący w tym duchu, powtóre, że mam jakiekolwiek w piśmiennictwie nazwisko, a po trzecie, że jest, a przynajmniej powinno być krajowi wiadomo, że się o żadną karyerę polityczną nie staram, żadnej ambicyi tego rodzaju nie mam, do żadnej partyi politycznej nie należę, żyję nawet po za granicami kraju — a przeto mam wszystko po temu, aby wydać o osobach i rzeczach sąd bezstronny i niepodejrzany.“

---

[1]) Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

Otóż, zwłaszcza w tym trzecim punkcie, mylił się, czy też chciał się zmylić, Kaczkowski. W kraju wiadomem było, że właśnie o karyerze politycznej, o działalności parlamentarnej, mającej być jego ostateczną „rehabilitacyą“, marzył on nieustannie. W sądach swych czy to literackich, czy politycznych, bezstronnością nigdy nie grzeszył, a mieszkając po za krajem, nie mógł mieć właśnie jasnego pojęcia o jego wewnętrznych stosunkach i potrzebach. Czuł on to sam widocznie, skoro prosił Smarzewskiego, jako tego, który „zna kraj najlepiej“, o szczegółowe informacye, trudno mu bowiem „spuszczać się na własną pamięć, zwłaszcza po dwudziestoletniej bezczynności w literaturze“: wielu nawet książek i broszur mu brakuje. Tłumaczy się przytem, dlaczego dopiero teraz tę książkę wydać zamierza, chociaż miała być ona właściwie odpowiedzią na „Tekę Stańczyka“, która w odbitce z „Przeglądu Polskiego“ ukazała się jeszcze w roku 1870. Otóż taki atak wcześniejszy narobiłby może chwilowo trochę hałasu, aleby się rozbił wkrótce o silne jeszcze podówczas stanowisko tego stronnictwa w Rządzie i w kraju i przebrzmiał bez skutku.

W r. 1882 upatrywał Kaczkowski upadek wpływów i znaczenia Stańczyków, więc postanowił cios ostateczny wymierzyć. A cios ten miał być wymierzony „bezwzględnie“, wedle rady, jaką mu jeszcze w r. 1855 udzielić miał w Wiedniu minister Buol, który na zapytanie, jak pisać wspomnienia z zamierzonej podówczas przez Kaczkowskiego podróży za granicę, gdzie miał poznać „najznakomitszych uczonych i mężów stanu, a nawet niektóre Dwory“, powiedział mu: „Schreiben Sie rucksichtslos“.

Prosząc Smarzewskiego o informacye co do Stańczyków, dodaje nawet kwestyonaryusz, a dla zachęcenia widocznie swego przyjaciela do obszernej odpowiedzi, przypomina mu „podłą intrygę“, uknutą przeciw Smarzewskiemu w tym czasie, kiedy „było wielkie podobieństwo, iż będzie mu (Smarzewskiemu) ofiarowane Ministerstwo finansów“.

P r z e d l a t y wspominał już Smarzewskiemu o formie, w jakiej tę książkę pisać zamierza. Ideę tej formy zachował dotąd. „Zawsze — powiada — to będą umarli, którzy rozmawiać będą o zaszłych lub zachodzących wypadkach: duch tych rozmów uwidocznionym zostanie obrazami z porozbiorowej historyi, a oprócz tego duch jakiś będzie wydawał wyroki, oparte na prawdach wiecznych i niewzruszonych.“

To dowodzi najlepiej, że idea „Teki Nieczui“ zrodziła się bezpośrednio po upadku kandydatury, — wykonanie tylko się opó-

źniło, lecz ta zwłoka nie wpłynęła bynajmniej na złagodzenie tonu.

Wedle rady Buola pisał bezwzględnie, pisał żółcią i jadem, a bez dokładnej znajomości stosunków krajowych, co mu, jak to widzieliśmy, zarzucił publicznie prof. Liske, potępiając stanowczo „Tekę Nieczui", i to właśnie w głośnym artykule, stającym w obronie Kaczkowskiego przeciw zarzutom zdrady i szpiegostwa.

W tej sprawie, przed ogłoszeniem jeszcze artykułu prof. Liskego „W imię prawdy", odbyła się listowna między nim a Kaczkowskim wymiana zdań. Kaczkowski, w liście z d. 1 stycznia 1891, użala się przed profesorem, że jego działalność literacka, mająca dobro kraju na oku, występująca przeciw „egzageracyom romantyzmu (1850—1851)", usiłująca podnieść „potrzebę utworzenia u nas stanu trzeciego ze szlachty średniej i drobnej (1858—1860)", „wysuwająca program pracy organicznej („Rozbitek". 1856)", „występująca przeciwko agitacyom rewolucyjnym (Żydowscy", 1860)", — nie osiągnęła żadnego skutku. „Arystokracya — pisze — ogłosiła mnie libertynem i rewolucyonistą, a demokracya zacofańcem i arystokratą, — a tymi, którzy najenergiczniej na mnie uderzali, byli nie jacyś tuzinkowi krytycy lub publicyści, tylko ludzie, którym ja sam nie odmawiałem pierwszorzędnego znaczenia, bo z prawej bił na mnie Siemieński, a z lewej Kraszewski."

„Tak samo — wyznaje — na nic się nie przydała moja „Teka Nieczui". Ażeby tę xiążkę sprawiedliwie osądzić, potrzebaby znać jej właściwą genezę, która datuje jeszcze z r. 1852 i rozmaite za kulisowe walki i spory z lat 1869—1877, — a o tem trzebaby nowy tom „Teki" napisać; ale to Panu chętnie przyznaję, chociaż tego nie wypowiadasz otwarcie, że p a m f l e t t e n b y ł c o n a j m n i e j z b y t e c z n y m. Na moje usprawiedliwienie tylko to mogę powiedzieć, że chociaż tym kartaczem byłem nabity od lat trzydziestu, nie wypuściłem go z siebie z własnego popędu, tylko pod bardzo silnym i przez lat kilka trwającym naciskiem kilku dawnych przyjaciół, którzy mnie zapewniali, że taki strzał jest koniecznie potrzebny dla przytarcia rogów arystokratyczno-klerykalnej reakcyi i dla otworzenia drogi liberalniejszym dążnościom. Ci przyjaciele (dziś już wszyscy wymarli), chociaż mieszkali w kraju, omylili się w dwóch kierunkach: za nisko ocenili partyę krakowską, a za wysoko inteligencyę, energię i w ogóle całą „Leistungsfähigkeit" liberalnych żywiołów, ja omyliłem się z nimi, ale ja jeszcze nadto ten błąd popełniłem, żem w tę robotę włożył zanadto wiele temperamentu. Praktyczny cel został chybiony: bo Stańczycy, przeczy-

tawszy uważnie, co tam stoi pomiędzy wierszami, a nawet zainformowawszy się u mnie przez trzecie osoby, czyli i jakie dokumenty posiadam, postąpili bardzo rozumnie i przetrwali cierpliwie to uderzenie, — a demokracya nie zrozumiała tej xiążki, nie umiała z niej wszystkiego wyczytać i wyzyskać jej przynajmniej do tego punktu, aby wywołać Tom II. — Facit zaś dla mnie był taki, żem oburzył na siebie nie wszystkich, ale za to naczelnych członków partyi krakowskiej, którzy wprawdzie jeszcze i dzisiaj obchodzą się ze mną, jak z ogniem, ale przecież w pewnych sferach potrafili mnie postawić, jako pisarza bez talentu, niezasłużonego rozgłosu i zawziętego nieprzyjaciela szlachty."

W dalszym ciągu tego listu przyznaje nawet Kaczkowski, że w ostatnich latach partya krakowska „przedstawia się w trochę korzystniejszem świetle, bo ta koterya, która siebie nazywa demokratyczną, widocznie jeszcze mniej warta od niej" „Ci demokraci — pisze dalej, — którzy od lat dwudziestu zdobyli się tylko na takich trzech mężów stanu, jak Asnyk, upersonifikowana indolencya *mit terroristischen Extremitäten*, jak Romanowicz, chodzący jeszcze dziś w pętach Towarzystwa demokratycznego z roku 1836, i Szczepanowski, wielki ekonomista, a nie znający nawet zasadniczych teoryi buchhalteryeznych, to jest prawdziwa „Nędza Galicyi".

Otrzeźwiawszy więc z pierwszego impetu, który mu podyktował niefortunny pamflet polityczny, odstąpił nawet Kaczkowski od zamiaru wydania drugiego tomu „Teki Nieczui", do którego zbierał skrzętnie materyały, zasięgając rozmaitych informacyj u Smarzewskiego, Rządżewskiego (Aëra) i innych.

W r. 1888 redakcya „Dziennika Polskiego", zasłyszawszy coś o przygotowywanej nowej pracy Kaczkowskiego, zgłosiła się po nią, na co on, w liście z d. 24 sierpnia tego roku[1]), odpowiada:

„Co do dalszego ciągu „Teki Nieczui" zaszło jakieś nieporozumienie. Najprzód nie jest to powieść, tylko pamflet polityczny, w obrazowej formie napisany. A powtóre, drugi tom zapewne kiedyś napiszę, ale na to potrzeba, ażeby się jakaś epoka polityczna dopełniła i zaokrągliła, i aby mi tym sposobem nowe fakta przybyły, inaczej musiałbym w drugim tomie innemi słowy to samo powtarzać, co już powiedziałem w pierwszym i co już wszyscy wiedzą."

Ostatecznie od zamiaru odstąpił i w r. 1891 pisał do prof. Liskego:

---

[1]) Z listu do p. Adolfa Wład. Inlendera. Ms.

„Drugiego tomu pewnie już nie napiszę, bobym pisał przeciwko prawdzie: żywiołów postępowych i liberalnych w duchu europejskim u nas niema, przynajmniej na polu politycznem, są tylko epigonowie Towarzystwa demokratycznego i rewolucyi *quand même*.“ [1])

Czytając ten i inne listy Kaczkowskiego, których są stosy całe, można łatwo zrozumieć powody niechęci, a nawet nieprzyjaźni, jaką on przeciw sobie obudzał, i to we wszystkich stronnictwach. Należąc z przekonań i usposobienia do obozu demokratycznego, skłonny nawet do popierania spisków i robót podziemnych, zrażał do siebie demokracyę swoją skłonnością do „trzymania się klamki pańskiej“, pięciem się do sfer wyższych, żądzą przewodzenia i kierowania. Jakkolwiek mówił o sobie, że nie jest „*Allwissend*“, to jednak chciał wszystko wiedzieć lepiej od innych i przyznawał sobie prawo bezwzględnej krytyki. Sądził wszystkich i wszystko surowo, szukał żywiołów „postępowych i liberalnych“, a odpychał je od siebie, ilekroć zauważył, że nie miał wśród nich bezwzględnego posłuchu. Stawiał się po nad nimi i ludzi, reprezentujących je, odsądzał od czci i wiary. — Tej samej taktyki trzymał się w obec sfer zachowawczych, które stale pomawiał o inercyę, niedołęstwo, brak woli do czynu. Niepowodzenie swoje w zabiegach o mandat poselski, przypisawszy tym sferom, w oburzeniu posunął się do wydania pamfletu, który jednak zawiódł jego oczekiwania, a wywołać oczywiście musiał rozgoryczenie i niechęci.

Że się zawiódł, i to zaraz w pierwszej chwili, w której się spodziewał wielkiej około „Teki“ wrzawy, dowodzi list jego z dnia 20 września 1883 r., pisany do Seweryna Smarzewskiego z Medyolanu. Oświadcza on w nim przedewszystkiem, „że teraz nic już pisać nie myśli, zbiera tylko i porządkuje niektóre materyały do czasów od ostatniego rozbioru aż do roku 1848. Zarysowały mu się szkielety do kilku powieści z tych czasów, ale żaden nie jest jeszcze należycie wypełniony“. „Ażeby — powiada — dobrze zrozumieć i strawić czasy emigracyi, partyzantki i spisków ówczesnych, trzeba przeczytać przeszło tysiąc roczników gazet, xiążek i broszur, które jeszcze do tego nigdzie się nie znajdują na jednem miejscu w komplecie. Najzupełniejszym tego rodzaju jest zbiór Reitzenheima w Paryżu, po nim idzie Rapperswyl, a Biblioteka Polska w Paryżu jest ostatnią. Wszystko, co później napisano o tych czasach, jest

---

[1]) List z Paryża, z d. 24 stycznia 1891 r. Bibl. Ossolińskich, Nr. 4985. Ms.

niezmiernie powierzchowne, nie wspominając już o tem, że jest bez wyjątku stronnicze.“ — Zapowiedziawszy, że w obec konieczności tych studyów będzie potrzebował dłuższego czasu zanim będzie mógł wziąć pióro do ręki, — dodaje:

„Prócz tego chciałbym jeszcze przeczekać, aż się wyrobi jakiś sąd stały o „Tece Nieczui“, bo dotąd najsprzeczniejsze dochodzą mnie o niej opinie. Podczas kiedy wielu z pierwszorzędnych dzisiaj pisarzy, począwszy od Kraszewskiego i Jeża, jak najpochlebniejsze wydają o niej zdania w korespondencyach prywatnych, a z Warszawy napisano mi kilka listów, przechodzących granice spokojnego uznania, w niektórych dziennikach, nawet *soi disant* liberalnych, jak n. p. „Kraj“ petersburski i „Gazeta Polska“, pojawiają się krytyki, które tę xiążkę stawią niżej najlichszych ramot, a o jej autorze powiadają, albo że się zestarzał i stracił zdrowy sąd o sprawach publicznych, albo że jest *„ein Narr auf eigene Hand“*... „Jest godnem zastanowienia — pisze dalej, — że są dzienniki, które takie krytyki zamieszczają bez obawy oburzenia przeciwko sobie dzienników innych. Jakoż i to jest godnem zastanowienia, że te inne dzienniki wcale się nie oburzają i milczą. Cóżkolwiekbądź z tem trzeba przeczekać, bo dla każdego autora, działającego z rozmysłem, jest rzeczą pierwszorzędnej wagi wiedzieć dokładnie, jak jest dla niego usposobiona publiczność, do której przemawia.“

Nie mógł zbadać tego usposobienia czytającej publiczności Kaczkowski z tego prostego powodu, że „Teka Nieczui“, o której sądził autor, że wywoła wielką wrzawę i zabije od razu partyę krakowską, że — jak pisał do pani Jadwigi Liskowej — będzie „podniesieniem patriotycznego i liberalnego sztandaru po nad reakcyjne i utylitarne a całkiem bezduszne chorągiewki krakowskiego stronnictwa“, — „Teka“ ta nie wywarła spodziewanego wrażenia, a po największej części wywołała sądy ujemne. „Z powszechną apatyą — skarży się dalej Kaczkowski — tak samo trudna sprawa, jak z posuchą lub słotą.“[1] Ale podejrzewa zarazem, że są jakieś intrygi przeciwko „Tece Nieczui“ i prosi Rzążewskiego (Aera), aby mu o tych „intrygach“ donosił. Przytem uskarża się okrutnie na dziennikartwo polskie, które, zdaniem jego, upadło tak nisko, jak nigdy. Uczciwego dziennika niema ani jednego. Laenderbank ma zorganizowane biuro prasowe pod kierownictwem Klaczki i Alfreda Szczepańskiego. Tam się redagują artykuły i instrukcye

---

[1]) List z Paryża, z d. 9 października 1892 r. Ms.

i ztamtąd płyną sumy ogromne za umieszczenie pewnych artykułów, lub zamilczenie. [1])

Ztąd nowe rozgoryczenie już nietylko przeciw znienawidzonym Stańczykom, ale i przeciw liberalnym żywiołom i całemu dziennikarstwu polskiemu w ogóle. Nienawiści swej do Stańczyków pozostał wiernym do ostatnich czasów, przypisując im wszystkie swoje katastrofy życiowe. Nie tai się z tem jednak, że byłby chętnie w swoim czasie do partyi krakowskiej przystąpił. Znamiennym pod tym względem jest list jego do pani Jadwigi Liskowej, pisany z Paryża d. 24 lipca 1891 r. [2]), w którym wyrażając zadowolenie z tego, co Stanisław hr. Tarnowski miał mówić we Lwowie o jego „sprawie“ z r. 1863, dodaje: „On i jego koledzy, którzy z nim razem w Wydziale Rządu narodowego w Krakowie siedzieli, powinni to byli powiedzieć, kiedy ta bomba w r. 1863 przeciw mnie pękła, bo nikt obok nich, którzy przecież sami mnie wtedy do Krakowa powołali, nie mógł wiedzieć tak na pewne i tak dowodnie, że to była potwarz sztucznie stworzona. Ale oni wtedy milczeli, — a jeszcze i potem, kiedy skutkiem moich osobistych stosunków w Wiedniu mogłem coś zrobić dla kraju, zamiast porozumieć się ze mną, jeszcze mi przeszkadzali. Jestem zdania, że gdyby się byli wtedy ze mną porozumieli, to byłoby się zrobiło daleko więcej dobrego, a i tworzącej się wówczas (1866) partyi krakowskiej, byłoby się to na coś przydało, gdyby była miała w sobie lub obok siebie kogoś, który miał szersze od nich poglądy i mógł ją słowem i piórem od niejednego błędu ochronić. Czemby dziś była ta partya krakowska, gdyby była miała takiego regulatora! Ale tak — z konieczności musiały zaraz nastąpić chłody, potem tarcia, a wreszcie wojna, — która zresztą nikomu nie przyniosła pożytku.“

W słowach tego listu odtwarza się cały Kaczkowskiego charakter. Chciał on być zawsze „regulatorem“ działań stronnictwa, przypisywał sobie zawsze „szersze“ od innych poglądy, uważał siebie za dźwignię i źródło potęgi, — a kto tego uznać nie chciał, z tym wojna! Taką wojnę prowadził ze Stańczykami, taką samą wiódł walkę z „czerwonymi“, z demokracyą, z liberalnymi żywiołami. Każdej swej czynności przypisywał pierwszorzędne znaczenie. Widzieliśmy, jak bezpodstawnie przedstawiał siebie jako pierwszego

[1]) List z Wiednia do Rzążewskiego z d. 26 września 1883 r. Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.

[2]) Zbiór Bibl. Ossolińskich, Nr. 4985. Ms.

organizatora skupienia żywiołów zachowawczych przed założeniem „Głosu“, jak jednak zostawszy redaktorem tego pisma, odstępował zwolna od przyjętych przez te żywioły zasad, jak nawet psując zbyt wyraźną tendencyą wartość artystyczną swych prac literackich, a będąc tylko echem głośno podówczas brzmiących haseł, miał się za ich pioniera czy to w „Dziwożonie“, czy „Rozbitku“, czy „Żydowskich“. Z taką samą wysokopienną zarozumiałością oceniał wagę i znaczenie „Teki Nieczui“. Nawet w liście do profesora Liskego, przyznając, że ten pamflet był niepotrzebny i chwaląc rozum Stańczyków, że cios ten „przetrwali cierpliwie“, — daje do zrozumienia, że uczynili to ze strachu, „poinformowawszy się przez trzecie osoby, czyli i jakie dokumenty posiada“. — W pośmiertnej puściźnie Kaczkowskiego pozostało dużo notatek, odnoszących się do „Teki Nieczui“ i przygotowanego drugiego tomu tego pamfletu. Otóż w tych własnoręcznych jego notatach oraz rekopisach, zkadinąd mu nadsyłanych, niema ani jednego takiego „dokumentu“, któregoby się najpłochliwszy nawet Stańczyk mógł przestraszyć. Są to po największej części zebrane dorywczo *les on-dit*, obiegające podówczas pogłoski i insynuacye, oraz na całym niemal arkuszyku spisane obcą ręką „Skazówki, prowadzące do niektórych dzieł, mogących służyć za źródła dla zbadania zasad i literatury tak zwanych Stańczyków“. — Otóż te „skazówki“ nie zawierają nic takiego, coby szerokiej publiczności nie było dostępne. Jest to po prostu spis dzieł, rozpraw i artykułów, ogłoszonych drukiem bądź przez Stanisława hr. Tarnowskiego, Klaczkę, Edwarda hr. Raczyńskiego, Ludwika hr. Dębickiego, Józefa Szujskiego, dr. Michała Bobrzyńskiego, Henryka Lisickiego (zwanego w tych „skazówkach“ Lisowskim) i innych, bądź przez ich przeciwników: Romanowicza, dr. Tadeusza Żulińskiego i t. d.

Na takich to „dokumentach“ opierała się „Teka Nieczui“, pisana rzeczywiście z „temperamentem“, podniecanym wyraźną nienawiścią, a mieszcząca — przyznać należy — wiele ustępów o polocie poetycznym, tam zwłaszcza, gdzie autor kreśli barwne obrazy, przesuwające się przed oczami mieszkańców owego „podniebia“, gdzie toczą między sobą rozprawy polityczne mężowie stanu dawnej Polski. Ton tych rozpraw, jakie się odbywają w pobliżu przybytku Najwyższego, wychodząc z ust „zbawionych“, chociaż jeszcze niedopuszczonych do „światła wiekuistego“, musiał z konieczności stać się jednolicie umiarkowanym, w skutek czego autor nietylko zatracił właściwą charakterystykę osób działających, jak Sołtyka, Woronicza, Niemcewicza, Czackiego, Kołłątaja, Lelewela, Staszica,

Brodzińskiego, Mickiewicza, Malczewskiego, Śniadeckich i innych sławnych nieboszczyków, — osłabiając tem samem ostrze satyry, czasem jednak krwawej, — lecz nagiął ich wszystkich do własnych zapatrywań, a co gorsza, uczynił narzędziem własnych uprzedzeń i nienawiści.

Że Stańczycy nie odpowiedzieli na „Tekę Nieczui", to wcale nie z obawy jakichś „dokumentów", będących w posiadaniu Kaczkowskiego. Stanisław hr. Tarnowski, w polemice swej z Chmielowskim [1]), jedyny powód milczenia wyraźnie przytacza: „Nie odpieraliśmy oskarżeń, zawartych w „Tece Nieczui", nie dlatego, ażebyśmy ich odeprzeć nie mogli, tylko po prostu dlatego, że mamy zwyczaj nie odpowiadać na paszkwile i potwarze. Są rzeczy, na które się nie odpowiada. Brak odpowiedzi nie jest dowodem, że zarzut był słuszny."

Profesor Liske, w znanym artykule swym „W imię prawdy", nazwał „Tekę Nieczui" pożałowania godnym wynikiem nieznajomości spraw krajowych. Ocena aż nazbyt delikatna i względna, bo nietylko „nieznajomość spraw krajowych" jest grzechem „Teki Nieczui". Głównym jej grzechem to widoczna chęć wywarcia zemsty osobistej na stronnictwie, którego ani celów, ani ducha nie pojął, czy też pojąć nie chciał, to pomawianie ludzi nieskazitelnych i zasłużonych o odstępstwo od idei narodowej, to upatrywanie w reakcyi przeciw porywom i wybuchom nie liczącego się z warunkami danej chwili zapału zaparcia się sprawy narodowej. Gdyby „Teka Nieczui" pojawiła się była w ślad za „Teką Stańczyka", możnaby jeszcze było wówczas usprawiedliwić jej treść rozgorączkowaniem chwili, polemicznym zapałem. — Ukazując się w lat tyle po niej, a opierając sądy swoje głównie na opiniach, wygłaszanych w r. 1869 i 1870, musiała „Teka Nieczui" popaść w jaskrawą niesprawiedliwość, usuwając na stronę wszelkie zmiany, jakie w politycznych zapatrywaniach tak ogółu, jak i stronnictwa krakowskiego zajść musiały. — I tem się także tłumaczy, że rzucona ręką Kaczkowskiego bomba, wybuchła bez wrażenia.

Zawód, jakiego doznał autor „Teki Nieczui", wzmógł jeszcze dawne gorycze i stare zawiści podtrzymywał ciągle. Mamy oto przed sobą list jego, pisany do Smarzewskiego Seweryna z 12 lutego 1886, w którym, krytykując mowy posłów w Sejmie galicyjskim, a zwłaszcza przemówienia Stan. Tarnowskiego i dr. Bobrzyń-

---

[1]) „Przegląd Polski", r. 1898. Hoesick: „Stanisław Tarnowski", t. II., str. 283.

skiego, powtarza znowu, że niema w Sejmie człowieka — tu zapewne także myślał o sobie. — „któryby szeroki program zakreślił, chociażby z tem zastrzeżeniem, że on go tylko stopniowo wykona“. „Sapieha — pisze dalej — miał jakieś senne myśli o tem, co powiedzieć trzeba, ale też je tylko sennie wypowiedział, a raczej zaznaczył“; wyraz ten babski i bawełniany, wynaleziony podczas autonomicznej ery w Galicyi, zawiera też w sobie najdokładniejszą charakterystykę ducha, jaki w tym kraju panuje. Czekajmy, może kiedyś wstanie jakiś *ex nostris ossibus ultor*.“

Że wylanie w „Tece Nieczui“ jadowitej goryczy nie wpłynęło wcale na zmniejszenie żalu w sercu Kaczkowskiego, dowodzą jego listy z lat późniejyzych, w których nie oszczędza domniemanych przeciwników, nie mogąc im darować upadku swej poselskiej kandydatury. I tak jeszcze w r. 1892 [1]) pisał do pani Jadwigi Liskowej o swej niefortunnej kandydaturze z r. 1873: „Spotkałem się z opozycyą tak u góry, jak i u dołu. To był zatem kraj, który mi oponował. Jakie kraj miał powody wybierać do Sejmów częstokroć całkiem nic nieznaczące figury, a odrzucać człowieka, który złożył przynajmniej na to dowody, że może i umie pracować, tego ja nie wiem, pamiętam tylko, że Grocholski, który pod owe czasy był na najlepszej stopie z Dobrzańskim, powiedział jednemu z naszych wspólnych przyjaciół te słowa: „Ja jemu ani z prywatnego, ani z politycznego stanowiska nie mam nic do zarzucenia, ale on ma swój rozum i despotyczny charakter, a takich ludzi nam nie potrzeba.“

„Ja nie mam charakteru despotycznego — broni się w dalszym ciągu przeciw temu zarzutowi Kaczkowski, — ale mam temperament i upor i za żadną cenę nie odstępuję od tego, o czem jestem przekonany: jeżelibym się był przeniósł do kraju i tam był czynnym, czy to w Sejmach, czy po za Sejmami, to byłbym się starł i stargał... i nie byłbym nic zrobił. Polityka stańczykowska (o niej zapomnieć nie mógł!) znalazła tak w austryackich stosunkach, jak w ogóle w duchu teraźniejszego czasu, tak silną podstawę, że już z tego powodu trudno ją wzruszyć, zadanie to wszakże stało się niemożliwem dlatego, że zasady umiarkowanie liberalne u nas zanadto mało mają przedstawicieli, a do tego jeszcze wloką za sobą dwa ogony, jeden głupio-radykalny, a drugi socyalistyczny, których od siebie odtrącić nie mogą, bo za tymi ogonami tłoczą

---

[1]) List z Paryża z d. 8 lutego 1892. Ze zbiorów Bibl. Ossol., Nr. 4985. Ms.

się masy miejskiego ludu. Przedstawiciele ci nie mają ani dostatecznej inteligencyi, ani charakterów, a nadto wszystko nie mają zgoła żadnego programu. Od czasu, jak ogłosili przez usta Szczepanowskiego, że zupełnej autonomii Galicyi domagać się nie chcą, bo kraj jest zanadto ubogi, aby ją mógł opłacić, wyrwali ziemię z pod swoich nóg i nie mają gruntu pod sobą, bo to był jedyny program dla liberalnego stronnictwa. Po tej kapitulacyi mogą być tylko i są rzeczywiście lewem skrzydłem Stańczyków, skrzydłem nieposłusznem, a może często niedogodnem, ale na polu politycznych czynności można się z niem zawsze pogodzić, właśnie dlatego, że nie mają charakterów między sobą.“

Tu Kaczkowski snadź znowu o sobie pomyślał, ale już z pesymistycznym nastrojem, przewidując końcowe niepowodzenie, pomimo swego „temperamentu i uporu“. „Gdyby — powiada — w tym czasie (od r. 1866) był zdarzył się człowiek niezłomny i gdyby mu się było udało pewną ilość posłów porwać za sobą, to prędzej, czy później byłby przecież został sam jeden, boby mu wszyscy uciekli.“

Te poglądy bardzo pesymistyczne dyktowała bezwątpienia Kaczkowskiemu niczem nieukojona gorycz, która od r. 1863 nieustannie nurtowała w głębi jego duszy. Potęgowało ją oddalenie od kraju, o którego stosunkach informował się tylko z doniesień dzienników, lub z opowiadań przybywających do Paryża rodaków. Przyjmował je często bezkrytycznie i wyrabiał sobie na tej podstawie sąd opaczny o ludziach i stosunkach galicyjskich.

Do kraju, a mianowicie do Lwowa, przybył raz jeszcze w r. 1878 i zabawił kilka tygodni: był u Namiestnika Alfreda Potockiego, u marszałka krajowego Ludwika Wodzickiego, widział się także ze wszystkiemi osobami, „które się wówczas świeciły u góry“, lecz znalazł wszędzie „taki wstręt do każdej donioślejszej czynności, taką obawę każdej myśli stanowczo polskiej“, taką zupełną sprzeczność ze „swemi politycznemi zasadami“, „że — dodaje — musiałem sobie powiedzieć: w tym kraju ja nie mam nic do czynienia“.

W ciągu tego kilkutygodniowego swego pobytu we Lwowie, miał także zbadać Kaczkowski dziwną sprawę tak zwanej „Konfederacyi Narodu Polskiego“, zawiązanej w r. 1876 na gruncie lwowskim w przeddzień wybuchu wojny turecko-rossyjskiej, przez ludzi zupełnie nieznanych, lub prawie nieznanych nietylko za granicą, lecz nawet w kraju. Myśl tej konfederacyi, zrodzona w mętnej głowie ówczesnego współpracownika „Gazety Lwowskiej“

Teofila Szumskiego, a w lot pochwycona przez fantastę rewolucyonistę Wacława Koszczyca, b. powstańca z r. 1863 Ksawerego Gebharda i Edmunda Riedla, byłaby niewątpliwie zgasła w samym zarodku, gdyby nie gorączkowa a pełna blagi gorliwość Koszczyca, przedewszystkiem zaś, gdyby nie współdziałanie różnych agentów politycznych, na czele których stał przejeżdżający z krańca w kraniec całą Europę Anglik lord Johnston Butler Northest [1]. Odgrywał tu także niemałą rolę, mieszkający stale w Rzymie, a zręcznie lawirować umiejący między Kwirynałem a Watykanem, hrabia i szambelan papieski Władysław Kulczycki, a także francuski legitymista hr. Bréda. Koszczyc, mający stosunki ze Stambułem, potrafił też zainteresować tamtejsze sfery, wśród których główną rolę odgrywali Polacy, pozostający w służbie tureckiej, zwłaszcza Artur Zimmermann (Artur-bej), Aleksander Zwierzchowski (Iskinder-bej) i inni. Wmieszało się nadto w tę sprawę angielskie Towarzystwo katolickie, które bynajmniej nie z ramienia rządu angielskiego, lecz na własną rękę, przez swego agenta Johnstona Butlera, dążyło w swych własnych celach do wplątania Polski w walkę z Rosyą. — W ten sposób z małej początkowo chmurki, począł padać wielki deszcz i omal nie rozpętała się burza, której jednak położyło kres rozstrzygnięcie wojny — zwycięstwo pod Plewną. — Koszczycowa „Konfederacya Narodu polskiego“ jeszcze przedtem rozpadła się na liczne inne związki czy konfederacye, które znikały jedna po drugiej. Natomiast w Wiedniu utworzono Rząd narodowy, który również nie utrzymał się długo, wciągnąwszy jednak do swego składu już znacznie poważniejsze nazwiska: ks. Adama Sapiehy, Artura hr. Gołuchowskiego, Janki, Kornela Ujejskiego i wielu innych.

Nie tu miejsce rozszerzać się nad tą zaiste dziwną sprawą, w której nie brakło momentów wielce nawet komicznych, a która jednak w swej całości była jednym z epizodów tragedyi narodu polskiego w niewoli. Ciekawych szczegółów tej sprawy odsyłamy do dziełka p. Franciszka Rawity-Gawrońskiego p. t. „Konfederacye Narodu Polskiego w r. 1876“ [2].

Sprawę tę o tyle poruszyć tu uważaliśmy za stosowne, o ile wziął w niej udział Zygmunt Kaczkowski. Starego spiskowca po-

---

[1]) O tej sprawie nawiasowo wspomina Kaczkowski w przytoczonym powyżej liście swoim do pani Jadwigi Liskowej z r. 1894, pisanym z powodu „Wspomnień“ ks. Leona Sapiehy.

[2]) Lwów, 1909. Nakładem „Kuryera Lwowskiego“.

ciągać musiała odurzająca woń robót konspiracyjnych; namawiał go też do nich niewątpliwie będący z nim w ciągłych stosunkach Władysław Kulczycki, czynny członek owej „Konfederacyi“, który, jakto z listu jego, pisanego z Rzymu d. 23 lipca 1877 r., wynika, mocno się jej sprawą interesował. W liście tym, adresowanym do „Konfederacyi Narodu Polskiego“, donosi:

„Dwa listy naglące napisałem do Johnstona, jeden do Paryża, drugi do Londynu, przedstawiając gwałtowną potrzebę pieniędzy i akcyi. Prosiłem, aby cały stan rzeczy Beaconsfieldowi przedstawił. Zaklinałem go i poprzysięgałem na wszystkie świętości. Wczoraj zaś napisałem doń do Wiednia, aby się na powagi nie oglądał i K. N. P. tylko słuchał. List ten, nie mając adresu Johnstona, posłałem zapieczętowany Zygmuntowi Kaczkowskiemu, który jest w stosunkach z hr. Bréda, który tu (w Rzymie) był z Buttlerem (Johnstonem) i wprost do Wiednia pojechał. Nie miałem także adresu tego zacnego legitymisty, ale ponieważ Kaczkowskiego ciągle widuje, ten mu list wszak odeszle, a Francuz jest *alter ego* Anglika. W liście wczorajszym także położyłem główny nacisk na pieniądze.“

Po zawiązaniu jednak Rządu narodowego w Wiedniu, gdy sprawa zdawała się przybierać znaczniejsze rozmiary, Kaczkowski przybył do Lwowa, chcąc widocznie rzecz zbadać na miejscu. Nauczony doświadczeniem, postępował wszakże z wielką ostrożnością i trzymał się na uboczu, a po zbadaniu wydał o K. N. P. opinię bardzo ujemną, o której dowiadujemy się z listu Kulczyckiego, pisanego d. 27 sierpnia 1878 r. z Porto d'Anzio do jednego z członków owej Konfederacyi. W liście tym czytamy:

„Zygmunt Kaczkowski, co (sic!) bawił kilka tygodni we Lwowie w przeszłym miesiącu, pisze do mnie, że K. N. P. jest całkiem nieznana, o której nikt nie słyszał, a wszyscy się dziwują, że owa nieznana i żadnego znaku życia nie dająca konfederacya, naraz się odezwała do Kongresu (w Berlinie) w imieniu narodu, co (sic!) jej nie zna i o niej nie słyszał.“

Kulczycki już także, zdaje się, był otrzeźwiał, bo w tymże liście dodaje, że powyższe zarzuty Kaczkowskiego „nie są całkiem bezpodstawne“.[2])

---

[1]) Z listu Kulczyckiego, udzielonego mi uprzejmie przez p. Franciszka Rawitę-Gawrońskiego, który jest w posiadaniu także innych listów Kulczyckiego i dokumentów, odnoszących się do K. N. P. Ms.

[2]) Ze zbiorów Fr. Rawity-Gawrońskiego. Ms.

W pesymistycznem usposobieniu, wyniósłszy z Galicyi same tylko ujemne wrażenia, powrócił tedy Kaczkowski w sierpniu do Wiednia, a we wrześniu przeniósł się na stałe mieszkanie do Paryża, oddając się już w zupełności swoim finansowym operacyom, które teraz zmierzały, jak się zdaje, głównie do powetowania strat, poniesionych w czasie krachu giełdowego.

Do przedsiębiorstw finansowych rwał się Kaczkowski od młodu. Jeszcze w r. 1858, jak to we właściwem miejscu zaznaczyliśmy, otrzymawszy nominacyę na członka Towarzystwa agronomicznego, wygotowywał plan założenia we Lwowie Banku obywatelskiego i wydawania dziennika polityczno-ekonomicznego. Jako „banita", tak w Wiedniu, jak w Paryżu był w ciągłym ruchu w sferach giełdowych i finansowych. Po wojnie prusko-francuskiej miał wypracować plan rychłej spłaty 5-cio miliardowej kontrybucyi wojennej, za co otrzymał krzyż Legii honorowej.[1]) Po krachu giełdowym, w którym znaczną część fortuny utracił, tem usilniej zajmował się spekulacyami tak finansowemi, jak i przemysłowemi. Między innemi, do spółki z Augustem Zangiem, wydawcą starej „Presse", założył w Paryżu „Boulangerie de Vienne", która jako spółka akcyjna do ostatnich czasów istniała. — Był też czynnym w Paryżu i za granicą jako t. zw. „Assureur", t. j. za pomocą kapitału francuskiego zakładał spółki asekuracyjne. Tak powstała spółka asekuracyjna *Franco-Hongroise*, *Azienda*, *Foncière* i wiele innych[2]). Z tem w związku zdaje się być wzmianka w liście Kaczkowskiego do Seweryna Smarzewskiego, pisanym z Baden d. 5 lipca 1882 r.[3]). W liście tym czytamy:

„Od kilkunastu dni jestem znowu w Wiedniu, gdzie mam zajęcie przy likwidacyi sfuzyonowanych asekuracyi, która potrwa zapewne do końca bieżącego miesiąca: osiadłem zaś na ten czas w Baden i próbuję tutejszych wód mineralnych przeciw memu reumatyzmowi."

W r. 1885 spotkał się Kaczkowski w Paryżu z Namiestnikiem Zaleskim, który mówił mu wiele o biedzie, panującej w Galicyi. Wspominając o tem w liście do Seweryna Smarzewskiego z d. 21 lutego 1886 r. rzuca Kaczkowski projekt poprawy amortyzacyi Listów zastawnych Towarzystwa kredytowego ziemskiego.

---

[1]) Z listu Eugeniusza Korytki, pisanego do Adama Krechowieckiego z Paryża d. 18 kwietnia 1914 r. Ms.

[2]) Z listu Adolfa Wład. Inlendera z d. 17 lutego 1917. Ms.

[3]) Ze zbiorów Tadeusza Smarzewskiego. Ms.

„Przed kilku laty — pisze, — kiedy ja sam się zająłem kwestyą amortyzacyi, do czego mnie spowodowały nieudolne systemy amortyzacyi, przyjęte tak przez tutejszy Crédit foncier, jak i przez Rząd przy Rencie amortyzacyjnej, kazałem zrobić Rymkiewiczowi, jednemu z najznakomitszych kalkulatorów tutejszych, kilka tablic amortyzacyjnych według systemów nowych, których formułki dałem mu gotowe. Jeden z tych wynalezionych przezemnie systemów dałby się zastosować dla Towarzystwa kredytowego z ogromną korzyścią. Polega on na tem, iż wydawszy Listy zastawne 3-procentowe, można tym samym wydatkiem, jakie dzisiejsza amortyzacya kosztuje, nietylko amortyzować je o jeden procent co roku wyżej nad pari, t. j. w pierwszym roku po 100, w drugim po 102, w ostatnim po 175, ale jeszcze robić oszczedności tak wielkie, że w lat kilkadziesiąt Towarzystwo miałoby rezerwy, składające się z wielu milionów. System ten możnaby zawsze zaaplikować z korzyścią, ale naturalnie, że takim środkiem nie można zaradzić grożącej kryzys."

Zygmunt Sarnecki, który przyjechawszy do Paryża w r. 1884 na dłuższy pobyt, zbliżył się do Kaczkowskiego, a i w późniejszych latach, jako redaktor i wydawca wytwornego tygodnika p. t. „Swiat", był z nim w ciągłych stosunkach, — pisze o nim w liście z dnia 21 marca 1914 r.[1]):

„Był on przedewszystkiem finansistą, używającym polityki, a niekiedy nawet i literatury, do celów spekulacyjnych, giełdowych. ...Znali go mniej więcej bliżej — tylko bankierzy, z którymi pozostawał w ciągłych stosunkach, a wprawy w uruchomianiu wielkich interesów pieniężnych nabył, według wszelkiego prawdopodobieństwa, w czasie długiego swego pobytu w Wiedniu. Korzystał z niej następnie z powodzeniem w Paryżu. Mówiono, że jest bardzo bogaty. Liczono go na miliony. Zdawały się świadczyć o tem konferencye z francuskimi geszefciarzami pierwszej klasy, przerywającymi nam nieraz rozmowy literackie i wyprowadzającymi go ze skromnej pracowni, w której siedzieliśmy, do t. zw. salonu na pilne narady. Może był tylko ich pośrednikiem i informatorem w sprawach, łączących targ pieniężny wiedeński z targiem paryskim. Żył wygodnie, lecz nie zbytkownie. Salon jego urządzony był banalnie i niemal bez smaku... ...Znał wielu emigrantów starych i młodszych, rzadko kiedy przyjmując ich u siebie i zachowując się względem nich — o ile ja widziałem — dosyć chłodno. Wszystko,

[1]) List z Zakopanego do Adama Krechowieckiego. Ms.

co go dotyczyło osobiście, wyłącznie, moralnie, było zawsze przez niego zamilczane i jakby z rozmysłem ukrywane... Mówił tylko czasem, ale bardzo oględnie, o swem uniewinnieniu przez ludzi poważnych i zacnych. Słowem, był to człowiek bardzo niepospolity, indywidualny, nie żaden zdrajca (za jakiego go okrzyczano po 1863 roku), lecz w gruncie rzeczy niezbyt sympatyczny, a nawet poniekąd zagadkowy.“

IX.

(Sława Sienkiewicza. — Krytyka Kaczkowskiego. — Rozbiór tej krytyki. — „Graf Rak“. — Listy Kaczkowskiego o Sienkiewiczu. — Jak należy pisać powieść historyczną. — „Abraham Kitaj“. — Listy Kaczkowskiego, wyjaśniające cel tego utworu i powody niechęci do Sienkiewicza. — Ciągła z nim rywalizacya. — Czem jest w rzeczywistości „Abraham Kitaj?“ — Krytyki tej powieści. — „Olbrachtowi Rycerze“. — Rozbiór tej powieści. — Listy o niej Kaczkowskiego.)

Podczas kiedy, wielbiony niegdyś w społeczeństwie polskiem autor powieści nieczujowskich, oddawał się na obczyźnie wyłącznie niemal spekulacyom finansowym, w Polsce i po za jej granicami rosła wielka, promienista sława Henryka Sienkiewicza. Echa tej sławy, bardzo rozgłośne, odbijały się w sercu autora „Murdeliona“ dziwnie bolesnem echem. Ktoś w kraju, w całej Polsce zajął jego miejsce, a nietylko miejsce zajął, lecz go o wiele przewyższył w jednomyślnem uznaniu i hołdzie olśnionego blaskiem geniuszu społeczeństwa. Zniósł jeszcze cierpliwie zachwyty, obudzone nowelami i opisami podróży, — lecz gdy się ukazało: „Ogniem i mieczem“, wywołując niebywałe wrażenie, nie wystarczały mu już namiętne protestacye, wygłaszane w gronie bliższych i dalszych znajomych, nie wystarczały krytyki, wypowiadane w listach prywatnych. Trzeba już było wystąpić publicznie z krytyką, która jeśliby nawet nie zdołała zabić w zarodku rodzącej się sławy, to przynajmniej mogła przyćmić ją i stłumić słowem na pozór spokojnem i poważnem, w istocie zaś druzgocącem.

Przygotowywał się do tej krytyki widocznie z nakładem mozolnych studyów, odświeżył w pamięci nietylko dawniejsze literackie wspomnienia, lecz przestudyował całą współczesną, zwłaszcza

realistyczną i naturalistyczną, literaturę i przesłał redakcyi „Gazety Lwowskiej“ obszerną pracę, w której, już w samym tytule, stanął na stanowisku mistrza w obec początkującego ucznia, sędziego, wyrokującego bez apelacyi. Tytuł tej obszernej rozprawy brzmi:

„Zygmunt Kaczkowski o pismach Henryka Sienkiewicza.“

Gdy rękopis nadszedł do redakcyi, wywołał niemałe poruszenie. Redaktor naczelny wahał się drukować, nie chcąc jednak samowolnie rozstrzygać, przedstawił tę sprawę ówczesnemu Namiestnikowi Filipowi Zaleskiemu i Wiceprezydentowi Loeblowi, którzy podówczas bardzo gorliwie zajmowali się rozwojem „Gazety Lwowskiej“. Po długich naradach i rozważeniu *pro* i *contra* zadecydowano, aby rozprawę Kaczkowskiego drukować, z pewnem jednak zastrzeżeniem ze strony redakcyi. — Druk rozpoczął się w Nr. 166 z dnia 19 lipca 1884 r. i trwał do Nr. 185, t. j. do dnia 11 sierpnia, zajmując 15 odcinków. Przy pierwszym redakcya zamieściła zastrzeżenie tej treści, że ogłasza tę pracę z uwagi na stanowisko autora w literaturze i uznając doniosłość wymiany poważnych i wytrawnych opinii w sprawach literackich.

Opinia miała istotnie pozory poważne. Nie mniej jednak była niesprawiedliwa, w najwyższym stopniu stronnicza, pełna nieuzasadnionych insynuacyj, a pisana widocznie *pro domo sua*, i to jeszcze z trójnoga.

Już na samym wstępie zaznacza Kaczkowski, iż nie może młodemu autorowi oddać większej pochwały, jak wyznając, że on, Kaczkowski, czytał wszystkie utwory Sienkiewicza, które podówczas wyszły w 4 tomach, przeczytał je nawet z zajęciem: poczem wdaje się w polemikę z tymi, którzy w Krakowie „schwalili młodego autora na umor“. Dość długo tłumaczy, z jakich powodów przesadzone pochwały są szkodliwe i co jest właściwie „epopeja“, jak już nazwano „Ogniem i mieczem“. — Przechodząc do szczegółowej oceny, przyznaje Sienkiewiczowi talent młody, świeży, pełen niezwyczajnej energii, a czasem nawet porywający, — lecz dodaje, że talent ten objawił się w niektórych początkowych utworach „w kształtach prawie potwornych“. „Bartek zwycięzca“ sprawia na Kaczkowskim wrażenie ckliwe i wstrętne, albowiem — powiada — „rozdzierać rany społeczeństwa a nie przynosić zarazem żadnej pociechy, może w polityce być aktem konieczności, ale w dziedzinie sztuki jest barbarzyństwem“. „Szkice węglem“ wywołują — zdaniem krytyka — jeszcze daleko przykrzejsze wrażenie swoim beznadziejnie czarnym kolorytem. Dłuższy ustęp po-

święca tu Kaczkowski surowej krytyce języka, użytego w tych powieściach przez Sienkiewicza. „Język to „wykoszlawiony, pełen najgrubszych błędów przeciw gramatyce i składni“. Forma jest „przedrzeźnianiem języka ludowego“, treść zaś „wykrzywieniem rzeczywistości, a zarazem śmiertelnym grzechem przeciwko kardynalnym zasadom poezyi i sztuki“.

Czytając dzisiaj te epitety: „ckliwy, potworny, barbarzyński, wstrętny“. a do tego „grzeszący przeciw gramatyce i składni“ — epitety, zastosowane do utworów Sienkiewicza zdumienie istotnie ogarnia. Jest to tylko jaskrawy dowód, do jakiego stopnia zawiść zaślepić może! Bo nie pojął, a raczej pojąć nie chciał Kaczkowski głównej, przewodniej myśli przepięknych Sienkiewicza nowel: nie zrozumiał, bo zrozumieć nie chciał, że wszystkie one wyniknęły z głębokiego odczucia niedoli ludzkiej, uginającej się pod brzemieniem wrogiego systemu („Bartek zwycięzca“, „Szkice węglem“, „Z pamiętnika nauczyciela“), opuszczenia sierocego („Janko muzykant“ i „Jamioł“), miłości nieszczęśliwej („Hania“), beznadziejnej tęsknoty tułaczej („Latarnik“). Nie odczuł, bo odczuć nie chciał krytyk zawistny przedziwnej prostoty słowa i tego mistrzowskiego artyzmu, z jakim twórca znajduje zawsze właściwy, a pełen prostoty wyraz dla określenia cierpień ludzkiej duszy.

Kaczkowski upatruje w tych nowelach tylko „zwierzęcą naturę człowieka“ i nic „prócz materyi, widzianej nie w blaskach słońca, lecz wśród ciemnej nocy“, a rzecz znamienna, że chwaląc w „Jamiole“ obrazki wiejskiego pogrzebu i wiejskiej karczmy zaznacza, że mogą one „stanąć obok najpiękniejszych rysunków powieści ludowych — Kraszewskiego“. Tego samego Kraszewskiego, któremu stale odmawiał wszelkiej zasługi i artyzmu, ganiąc niedbalstwo i zaniedbanie stylu, pomawiając o niedołęstwo twórczości, o popełnianie plagiatów! W ustach Kaczkowskiego to postawienie noweli Sienkiewicza „obok“ Kraszewskiego jest chyba surową naganą. — „Janko muzykant“ jest, wedle krytyka, słabym odblaskiem „nieśmiertelnych utworów Turgeniewa“, — natomiast podoba mu się opis powodzi w powiastce „Za chlebem“, chociaż i tutaj krytyk pojąć nie może, dlaczego po śmierci winnego ojca, ginie całkiem niewinna dziewczyna. On wolałby, aby była choć cokolwiek winna, aby zapomniała swej idealnej miłości dla pozostawionego w kraju kochanka i oddała się mniej idealnemu uczuciu dla namiętnego Orlika!

W ogóle we wszystkich tych nowelach Kaczkowski upatruje obok „wrodzonej skłonności do czarnego zapatrywania się na świat

i życie człowieka". także „przemagający pociąg do naśladowania szkoły naturalistycznej — Zoli". — Tu następuje szeroka i długa dysertacya o Zoli i jego naśladowcach, czy kontynuatorach. I nareszcie dochodzi krytyk do powieści „Ogniem i mieczem".

Tu postąpił sobie Kaczkowski mocno dyplomatycznie. Jeśli oceniając nowele, nie wahał się użyć ostrych wyrazów potępienia. — w obec „Ogniem i mieczem" nie szczędzi nawet pochwał — pozornych. Przyznaje wprawdzie, że tu na „ciasnem polu", zakreślonem powieści, „odetchnął autor piersią niezmiernie szeroką", że „swoim postaciom i krajobrazom, nawiedzionym najjaskrawszemi farbami, jakiemi pióro się może posłużyć, nadał wyrazistość namacalną, uderzającą" — lecz wnet dodaje: „często nawet przerażającą" — w czem, zdaniem krytyka, spoczywa tajemnica, że ta powieść „powszechne obudziła zajęcie" i jak najgoretsze uniesienia. „Rysunki Sienkiewicza — pisze Kaczkowski — są doskonałością w swoim sposobie. Często kilkoma pociągami pióra określa tak dobitnie całą figure, że brakujących rysów każda wyobraźnia sobie dopełni". Wszystkie postacie „są namacalnie widoczne, stoją doskonale na własnych nogach, oddychają swobodnie, myślą, mówią, ruszają się, żyją"... „Pod tym względem Sienkiewicz, tak w naszej literaturze, jak w obcych, przewyższył wielu, a zbliżył się do najlepszych."

Wypisawszy te, chociaż dość miarkowane pochwały, zabrał się teraz krytyk do bardzo starannego ich pomniejszania, czy też zamazywania. Rysunek postaci jest doskonały, ale tylko rysunek. Typów i charakterów, obrazu ich wewnętrznego niema. Powieść cała pisana bez planu, to też i charaktery bez planu tworzone, zmieniają się wedle „chwilowego natchnienia". „Aby trafnie odtworzyć typy i charaktery — uczy Kaczkowski — potrzeba źródłowej nauki i intuicyi". Sam talent tu nie wystarcza. I tak n. p. Podbipięta, „z początku oczywiście przeznaczony, aby się stać karykaturą średniowiecznego rycerstwa, rodzajem polskiego Donkiszota w drobnych rozmiarach", — staje się nagle bohaterem-męczennikiem. A ta sprzeczność — dodaje krytyk — „narzuca nam pytanie: czyż tylko ludzie głupi są zdolni tak wzniosłych poświęceń? Z tego punktu widzenia sprzeczność ta jest nietylko rażąca, ale obrażająca".

Analizując poszczególne postacie powieści, postępuje Kaczkowski wedle tego samego krytycznego systemu. Każdą wypowiedzianą pochwałę skrzętnie zaraz potem zamazuje. Skrzetuski posiada zrazu sympatyę krytyka, lecz okazuje się w końcu, że cho-

ciaż jest „postacią zajmującą i nie niewłaściwą na bohatera powieści“, to wszakże „jest to rycerz nie czułostkowy, tylko chorujący na miłość, nie sielankowy, tylko płaksiwy“. — autor w przedstawieniu tej postaci „grzeszy tu i ówdzie przeciw psychologii“, a bohatera swego, który „mógł być podniesionym daleko wyżej duchowo“, wyobraża „zanadto przeważnie ze strony fizycznej“.

Zagłoba — przyznaje Kaczkowski — „jest najudatniejszą w całej powieści figurą“ — ale cóż, gdy w nim jest „sprzeczności bez liku“. Nie Falstaff to, lecz raczej uszlachetniony nieco Papkin XVII. wieku“, Wołodyjowski jest „kreacyą niedostateczną“. Helena, której postać zewnętrzna odmalowana bardzo ponętnie, jest w gruncie rzeczy „gąską“, których w Polsce daleko mniej bywało, niż gdzieindziej. „Bohun jest doskonałą kreacyą... — powiada Kaczkowski — zostanie on w naszej literaturze na zawsze.“ Lecz w ślad za tem pisze: „Sienkiewicz nie umiał logicznie i naturalnie przedstawić go w akcyi... w naszej pamięci zostanie tylko junak, ale nie historyczny hetman kozacki“. „Chmielnickiego charakter, temperament i cała postać przedstawił nam autor pod względem psychologicznym prawdziwie, a zarazem zgodnie z historycznem podaniem“ — lecz wnet dorzuca — w swem „politycznem znaczeniu jest uchwycony przynajmniej o cały ton za nisko“. Wisniowiecki jest postacią już całkowicie „skrzywioną“. „Sienkiewicz bardzo niewdzięczne wziął przed się zadanie, usiłując umyć Jaremę i zrobić z niego taki typ oligarchy, dla którego czytelnik mógłby w sobie obudzić sympatyę i poszanowanie.“

A całość wreszcie? Całości brak perspektywy — jest natłok „jednej i tej samej natury obrazów“. Najsilniejszem nerwem talentu Sienkiewicza jest „wyrazistość rysunku i świetność koloru w obrazowaniu“, — ale w obrazach jego znajdujemy „nietylko jaskrawość, która nam się już nie podoba, ale przeraźliwość kolorów, którą stanowczo potępić należy“. Przyznaje Kaczkowski wprawdzie, że w powieści tej są obrazy, „mistrzowską ręką kreślone“, opis oblężenia Zbaraża nazywa „świetnym“, ale wnet dodaje, że w tych obrazach „bardzo sporo jest niedokładności“, albowiem „autor, niesiony często całkiem bezwiednie potęgą swojej imaginacyi, pędzi jak gdyby na skrzydłach wichru, ale co chwila utyka. Potykania się te — nie waha się powiedzieć Kaczkowski, — potrącanie się ustawiczne o historyę, o geografię, o gramatykę (!), o uczucie dobrego smaku (!), a nareszcie o prawdopodobieństwo, sprawiają nieprzyjemne wrażenie na ukształconego czytelnika“ — Z owych „niedokładności“, które Kaczkowskiego tak mocno rażą,

wymienia on wszakże zaledwie parę i to zaiste bez większego znaczenia, zaznacza n. p., że Krzeczowski nie przeszedł do Chmielnickiego z rozwiniętymi sztandarami, lecz wzięty przez niego do niewoli, dopiero wówczas z nim się połączył, — że Czarniecki nie był wzięty w niewolę pod Żółtemi Wodami, tylko poszedł na zakładnika i bezprawnie zatrzymany został i t. p. Drobne to są „niedokładności", nie zmieniające istoty rzeczy, a które zapewne artystycznymi względami były wymagane. Inaczej bowiem przedstawia się przejście do nieprzyjaciela „z rozwiniętymi sztandarami", a inaczej cicha zdrada, dopełniona już w niewoli; inaczej wzięcie jeńcem takiego wodza jak Czarniecki na polu bitwy, a inaczej wiarołomne uwięzienie zakładnika. — Ale tego krytyk nie bierze wcale pod uwagę i w dalszym ciągu odmawia Siekiewiczowi nietylko „rozwagi, miary, zastanowienia", ale nawet tego instynktu, który pozwala odróżnić to, co jest prawdopodobnem, od tego, co jest niemożebnem. „Otóż, — powiada Kaczkowski — tego instynktu, który nie jest czem innem, jak tylko głównym pierwiastkiem z d r o w e g o r o z s ą d k u, w nim (w Sienkiewiczu!) nie widzimy, a z tego należałoby wnosić, że jego talent ma pewną niedostateczność wrodzoną. Nie jest to jeszcze wielkiem nieszczęściem — pociesza Kaczkowski Sienkiewicza, — bo tę niedostateczność można wypełnić pracą i wrodzony dar zdrowego rozsądku da się zastąpić zastanowieniem."

I to pisze autor demonicznego, zgoła nieprawdopodobnego „Murdeliona!" — Własnym oczom wierzyć się nie chce.

W dalszym ciągu zarzuca krytyk powieściom Sienkiewicza brak — dramatyczności. Wszystko traktuje „powierzchownie" i „zewnętrznie" tylko. Tak postępuje z ludźmi, tak też z historyą: duchowych sprężyn działających niema wcale; zamiast wypadków działają u niego przypadki i „cała akcya powieści, prócz historycznych wydarzeń, jest tylko szeregiem przypadków".

A język Sienkiewicza? Kaczkowski przyznaje w jednem miejscu, że jest płynny i gładki, giętki i bogaty w wyrazy, — ale o kilkadziesiąt wierszy niżej już w nim dostrzega wady i „to bardzo rażące", a gorszy się okrutnie „lokucyami" Zagłoby. Zdaniem krytyka, obudzają one „wstręt i obrzydzenie", a gdyby te „plugawe koncepty" uznano za dowcipne, to „musielibyśmy sobie powiedzieć, że dobry smak już wcale u nas zaginął, że akademia nowego języka usadowiła się między straganami, a nasza piękna literatura stała się prostacką i gburowatą". — „Każdy utwor literacki powinien być tak napisany, aby mógł być głośno czytanym w naj-

wykwintniejszym salonie. — a czyż powieść „Ogniem i mieczem“ mogłaby być czytaną w jakimkolwiek salonie, a choćby tylko pomiędzy mężczyznami, którzy strzegą uczucia przyzwoitości i swoje uszy szanują?“

W rezultacie cóż zostało z tej tak głośnej, tak rozsławionej powieści „Ogniem i mieczem“? Może przecież jest w niej jaka myśl dziejowa? a przynajmniej myśl samego autora. „Szukamy jej wszędzie — powiada Kaczkowski, — lecz nie możemy znaleźć. Myśli dziejowej tam niema, a jeśli jest coś do niej podobnego, to jest tylko jej karykatura.“

Aby się dłużej nad tem nie rozwodzić, pomijamy już, w jak stronniczy sposób, z okiem widocznie zwróconem złośliwie do Krakowa, gdzie schwalono powieści Sienkiewicza „na umor“, — uzasadnia autor bolesne zarzuty, czynione powieści „Ogniem i mieczem“, „braku miłości, którą winniśmy matce, braku uszanowania, które należy się ojcu, braku współczucia, które należy się nieszczęśliwym, chociażby obcym, a cóż dopiero swoim, wreszcie braku zdania, sądu, odwagi i t. d. W obec tego wszystkiego powieść ta nie może być, zdaniem krytyka, uważana za skończone dzieło sztuki — jest zapylonem i krzywem zwierciadłem historyi“.

W obec takiego wyroku zdumienie ogarnia, czytając o kilka wierszy poniżej pochwalne zakończenie: „Powieść „Ogniem i mieczem“, to dar, rzucony do narodowego skarbca, dar, który wydał „dźwięk jasny i brzmiący“, „dźwięk złota“, — a Kaczkowski, jeżeli „za swoje noce nieprzespane nad książkami i papierami i rozmaite inne mniej dobrowolne dolegliwości“ marzy o jakiej nagrodzie, to o tej tylko, aby się doczekał nowego rozkwitu pięknej literatury naszej, a w niej „jak najwięcej tak świetnych talentów, jak Sienkiewicza i jak najwięcej tak zajmujących utworów, jak powieść „Ogniem i mieczem“.

Doczekał się. Po tej powieści nastąpił i „Potop“ i „Pan Wołodyjowski“, cała promienna Trylogia, — a po niej „Krzyżacy“ i „Quo vadis“ i tyle innych arcydzieł, rozsławiających imię Polski i jej geniusza po całym świecie. Ale nie doczekał się Sienkiewicz uznania ze strony swego surowego krytyka, nie doczekał się cofnięcia, a przynajmniej złagodzenia wyroku na „Ogniem i mieczem“. Kaczkowski, jak to z licznych jego korespondencyj wynika, nie przestał sarkać na „wykrzywianie zwierciadła historyi“, na „język i styl“ Sienkiewicza. Dowiedziawszy się, że Wojciech Dzieduszycki wygłosił we Lwowie dwa odczyty o „Ogniem i mieczem“, pisze do Adama Krechowieckiego w liście z d. 21 października 1884 r.:

..."Chcąc koniecznie powiedzieć coś nowego, zaplątał się (Dzieduszycki) w zdania i rozumowania do tego stopnia oryginalne, że ich podobno nikt nie podzieli, kto choć jakokolwiek jest obeznany z zasadami estetyki i krytyki... Od stworzenia świata, aż po dzień 9 października b. r., jeszcze nikt o tem nie słyszał, że cztery tomy, napisane prozą, częstokroć nawet bardzo kulawą, a tu i ówdzie bardzo plugawą, które sam autor nazwał powieścią, są niczem innem, jak tylko poematem... Nad nowym rodzajem poematów, pisanych niedbałą prozą, już i głowy sobie łamać nie można." [1])

O innych powieściach Sienkiewicza sąd Kaczkowskiego nie był wcale łaskawszy. Oto n. p., co pisze o powieści „Bez dogmatu" do prof. Liskego z Paryża, dnia 4 lutego 1891 r.: „P. Bogusławski widzi coś w powieści Sienkiewicza „Bez dogmatu", czego przecie nikt inny nie znajdzie, choćby kto miał cierpliwość całe to niemoralne dzieło przeczytać, które jest tylko plagiatem (sic!) i rozwałkowaniem Goethego „Des jungen Werthers Leiden", naturalnie bez głębokości i bez genialnej zwięzłości Goethego." [2])

Nie sama jednak tylko zawiść literacka była powodem tych zjadliwych krytyk Kaczkowskiego. Na dnie duszy autora „Teki Nieczui" tlała zawsze żywa nienawiść do „Stańczyków", którym przypisywał popieranie Sienkiewicza. To wszystko, co wychodziło z tego obozu, a zwłaszcza z ust lub z pod pióra hr. Stanisława Tarnowskiego, było zaś wyrazem powszechnego uwielbienia dla twórcy Trylogii, miało szczególną własność rozbudzania tej nienawiści. Zresztą przyznaje to sam Kaczkowski w liście do Adama Krechowieckiego, z Paryża, z d. 9 listopada 1885 r. W liście tym pisze: „Za Sienkiewiczem stoi cała falanga hałaśliwego i właśnie takiego stronnictwa, które dawniej nie lubiło mnie bez powodu, a teraz ma do tego powody." [3])

Nie wątpiąc zresztą nigdy w potęgę swego talentu i sądząc, że on jest zawsze w stanie zadać cios śmiertelny rozgłośnej sławie Sienkiewicza, postanowił Kaczkowski sam wystąpić w szranki na polu powieści historycznej, aby pokazać, jak taka powieść powinna być pisana, by nie była „zapylonem i wykrzywionem zwierciadłem historyi".

Tu jednak jeszcze zaznaczyć należy, że już na lat kilka przed wydaniem „Teki Nieczui" i przed tą krytyką dzieł Sienkiewicza.

---

[1]) Ms.

[2]) Zbiór Bibl. Ossolińskich, Nr. 4985. Ms.

[3]) Ms.

Kaczkowski przerwał długie milczenie i wydrukował w warszawskiej „Gazecie Polskiej“ powieść jednotomową p. t. „Graf Rak“, która następnie wyszła we Lwowie, nakładem F. H. Richtera. Nie wywarła ona żadnego wrażenia, a raczej wrażenie ujemne. Jest to powieść współczesna, z czasów przygotowującej się wojny włosko-austryackiej, o fabule niezmiernie niejasnej i zawikłanej, osnutej na tle dziejów niemal zupełnie wynarodowionej rodziny kroacko-polskiej, Rakowskich. Pełno tu sytuacyj naciągniętych i nieprawdopodobnych, a przeciążonych astronomiczno-filozoficznemi rozważaniami głównego bohatera, owego Grafa Raka, człowieka bez żadnych zasad i uczuć i w nic niewierzącego, prócz w cudotwórczą potęgę materyi. Zkąd Chmielowski w swojej „Historyi Literatury Polskiej“ [1]) wysnuł wniosek, że „Graf Rak“ stara się udowodnić, „iż wyniki nauki nietylko nie przeczą nieśmiertelności duszy, lecz ją owszem stwierdzają“, pozostaje zagadką. W rzeczywistości bowiem „Graf Rak“ tej nieśmiertelności nieustannie zaprzecza aż do nagłej swej śmierci. Trudno również zrozumieć pochwały, jakich Chmielowski nie szczędzi tej powieści w swojej książce o „Naszych Powieściopisarzach“ [2]). Wedle krytyka myśl Kaczkowskiego w tej powieści „rozpatruje się w widnokręgach szerokich“, „talent jego skupił się iześrodkował“... Graf Rak ma być „figurą znakomitą, pod pewnym względem — nawet skończoną“. Wszystkiego tego w tej powieści dopatrzeć się niepodobna. Owe „widnokręgi szerokie“, to chyba ów świat egzotyczny, w który nas autor wprowadza, świat obcych dyplomatów, generałów, ekscelencyi, bankierów. Wprowadza w ten świat, ale nas z nim nie zapoznaje. Przesuwa się on przed oczyma naszemi przez jasno oświetlone salony, w których rozmawia się po francusku — całemi kartkami, dość zresztą banalnie. Ich wnętrze duchowe pozostaje dla nas nieznanem i — mało interesującem. Talent Kaczkowskiego nietylko tutaj nie skupił się i nieześrodkował, ale przeciwnie, dziwnie okazał się zimnym i nieproduktywnym. Postać główna „Grafa Raka“ nietylko nie wydaje się nam znakomitą i skończoną, lecz w całości chybioną, a w szczegółach nieznośnie nudną, narzucającą się czytelnikowi swoją astronomiczną wiedzą.

Co skłoniło Kaczkowskiego do napisania tej powieści? Na pewno orzec trudno, przypuścić wszakże można, że obudzone zajęcie dla badań astronomicznych ówczesnemi pracami Kamila Flam-

[1]) Tom VI., str. 115.
[2]) str. 407—416.

mariona, wczytywanie się w jego właśnie w roku 1878 w Paryżu wydany „*Catalogue des étoiles doubles et multiples en mouvement relatif certain*“, studyowanie następnie dzieł astronomicznych Herschela i filozoficznych Kanta, a mianowicie rozmaitych dociekań tego ostatniego, jak n. p. o Uranusie, odkrytym później dopiero przez Herschela, i o asteroidach pomiędzy Marsem i Jowiszem. To pewna, że w wywodach astronomicznych Grafa Raka jest wiele ustępów, niewątpliwie zaczerpniętych z dzieł Flammariona i Herschela, z jego rozpraw o kometach, oraz systemie słonecznym. To wszystko jednak czyni wrażenie niesmacznej pozy na erudycyę w astronomii, której nikt przecie uczyć się nie zechce z powieści, zresztą nudnie i rozwlekle pisanej.

Surowo skrytykowano tę powieść w „Słowie“ warszawskiem, przy sposobności oceny innych, późniejszych dzieł Kaczkowskiego, na co tenże w liście do Adama Krechowieckiego, z d. 25 lutego 1886 r., mocno się oburza: „Obskurus ten — pisze — ze „Słowa“ nie wie, że „Graf Rak“ był trzy razy (?) drukowany w Polsce, jest przetłumaczony na język niemiecki, a nawet ktoś zrobił zeń excerpt po francusku i czytał go tutaj (w Paryżu) w klubie astronomicznym, o czem mnie sam Flammarion listem zawiadomił.“ [1])

Bądź co bądź „Graf Rak“ utonął w niepamięci.

I znowu lat wiele zbiegło Kaczkowskiemu na innych, nie literackich zajęciach. Dopiero sława Sienkiewicza wcisnęła mu pióro do ręki.

I urodził się „Abraham Kitaj“, a po nim „Olbrachtowi Rycerze“.

W r. 1885, w Nr. 291 z d. 21 grudnia, rozpoczęła „Gazeta Lwowska“ w fejletonie druk „Abrahama Kitaja“, który następnie pojawił się w 2 tomach w wydaniu warszawskiem Gebethnera i Wolffa, w roku następnym. O tej powieści pisze sam autor w liście do naczelnego redaktora „Gazety Lwowskiej“, d. 24 października 1885 r.: „Powieść ta obejmuje obraz Rzeczpospolitej polskiej z lat 1683—1686. Jako materyał do niej posłużyły niektóre tradycye, które z tej epoki przechowały się do ostatnich czasów w Ziemi Sanockiej, tudzież familijne papiery, które po Krajewskich i Kitajgrodzkich dostały się do rąk Autora. Z wypadków historycznych przedstawione są w niej: Odsiecz Wiedeńska, obydwie bitwy pod Parkanami i nieszczęśliwa wyprawa Sobieskiego na Bu-

[1]) Ms.

dziaki, zaś głównemi figurami są Król ze starszyzną wojskową, rodziny Fredrów, Borowskich, Dzierżków, Kitajgrodzkich i inne...“

Zastrzega się wprawdzie Kaczkowski, że „nie było wcale jego zamiarem iść w zawody z głośnemi powieściami ostatnich czasów, które przedstawiając osoby i wypadki w ogniach bengalskich, obliczone są na zrobienie efektu, a dla których i krytyka jeszcze nie znalazła nazwiska, nazywając je to poematem, to epopeją“. — w dalszym jednak ciągu tego listu nie tai, że pragnął w „Abrahamie Kitaju“ okazać, jak się powinno pisać powieść historyczną. „Moja powieść — powiada — przedstawia w sposób realistyczny swój wiek, jakim był w samej istocie, i ludzi z krwi i ciała z ich wszystkiemi wadami, — a oprócz tego i wykład jest bardzo zwięzły, prawie kronikarski, albo pamiętnikowy, bez żadnych refleksyi, z krótkiemi opisami i bez naturalistycznej dysekcyi.“ [1])

W późniejszym liście pisze o tejże powieści:

„Ktokolwiek się zna na żywiołach, z których się tworzy obrazy, ten zaraz spostrzeże, że z tych wypadków, które w tę powieść objąłem, można było nakrzesać niezmiernie wiele scen straszliwych i olśniewających, a wszystkie zanurzyć w morzu krwi i oświecić ogniem bengalskim. — Dlaczegoby n. p. Prokop nie mógł być synem Hołubowskiego? dlaczegoby bracia Kitajgrodzcy nie mieli po szekspirowsku zetrzeć się kilka razy z sobą? dlaczegoby Kitaj nie mógł porwać Krzysi i schować jej u jakiej czarownicy na Węgrzech? Dlaczegoby Fredrowa nie mogła się kochać w Kitaju? dlaczegoby Mruczycha nie mogła być oddaną pod sąd i wziętą na tortury? Dlaczegoby Pietraszek nie mógł się w jakiś krwawy sposób poświęcić dla Rybki, albo dla wyratowania Mruczychy? i t. d., i t. d., z czegoby się wywiązało scen bardzo dramatycznych na sześć tomów, albo i więcej.“

Jeżeli nie skorzystał z tych sposobności Kaczkowski, chociaż mu „materyału nie brakło“, to jedynie dlatego, aby „dla efektu“ nie poświęcać prawdy, albowiem — dodaje — „nie w tem leży zasługa sztuki, aby dużo materyału zgromadzić, tylko w tem, aby zeń trafny wybór uczynić i przedstawić go w takiej mierze i takim porządku, jakich wymagają prawda psychologiczna i historyczna.“ [2])

---

[1]) Z listu do Adama Krechowieckiego. Ms.
[2]) List z Paryża, z d. 8 grudnia 1885 r. Ms.

Zatem bez „efektów i ogni bengalskich“, jakimi oświetla swoje obrazy Sienkiewicz, — „Abraham Kitaj“ miał być wzorem tego, czem być powinna powieść historyczna. Do tego samego przedmiotu wraca jeszcze w listach późniejszych kilkakrotnie. W jednym z nich [1]) pisze:

„Nie chciałbym, aby mnie porównywano z Sienkiewiczem, bo byłoby to zapewne dla mnie niedobrze, a może i dla niego. Obydwa piszemy historyczne powieści, ale każdy z nas pisze co innego i całkiem inaczej. Sienkiewiczowi idzie o to, aby uchwycił zewnętrzną postać pewnej epoki, co mu się przewybornie udaje, ale zresztą celem jego jest tylko zestawienie jak najwięcej zajmujących obrazów i o przedstawienie ich w jak najjaskrawszych kolorach, bez żadnego względu na ducha tej epoki, na prawdę historyczną, na stosunek tych obrazów do siebie i na rozmiary całości. Tak n. p. widzę z prospektu na jego powieść p. t. „Potop“, że chociaż już podobno dwa tomy wydrukowano, on jeszcze sam nie wie, ile tomów będzie zawierać całość.“

Kaczkowski postępuje zupełnie inaczej, a zapominając, co mu krytyka nie bez słuszności zarzucała, mianowicie: wadliwą najczęściej budowę powieści, rozwlekłość i wtrącanie zupełnie zbytecznych epizodów, — twierdzi:

„Mnie taki sposób pisania jest całkiem obcy. Ja nigdy nie zaczynam pisać, dopóki cała powieść nie jest wybudowana we wszystkich swych epizodach, toż nigdy w mojej powieści niemasz ani jednego epizodu, któryby nie był konieczną częścią składową całości i którąby można wyrzucić, nie zostawiwszy luki niezrozumiałej dla czytelnika. I mnie naturalnie wśród pisania wpada na myśl mnóstwo nowych epizodów, pokusa często jest wielka, aby je wkleić w tok opowiadania, ale ja nigdy takiej pokusie nie ulegam i zawsze poświęcam zbyteczne epizody z góry zakreślonemu gmachowi całości. Nie układam też nigdy moich obrazów na efekt, tylko w tym jedynym zamiarze, aby przedstawiły prawdę historyczną i psychologiczną, jestem bowiem zdania, że jeżeli mi się udało ducha epoki trafnie odgadnąć, pod jego natchnieniem zajmującą bajkę wymyślić i architektonicznie okrągłą całość zbudować, to wszelkie sztuczne oświetlenia mogą tylko zaszkodzić artystycznej wartości dzieła. Nareszcie w historycznej powieści nie chodzi mi tylko o odtworzenie zewnętrznej postaci danej epoki,

[1]) z Paryża, z d. 6 listopada 1885 r. Ms.

ale głównie o przedstawienie jej ducha i jej psychologicznych motywów, które w owym czasie powodowały ludzi do działania. Toż moje historyczne, a nawet i współczesne powieści nigdy nie podobają się wyłącznie temu albo owemu stronnictwu, nigdy nie będą przez jakąś polityczną frakcyę nad wszelką zasługę chwalone, bo niemasz w nich nigdy odnoszącej się do czasów dzisiejszych stronniczej tendencyi, niemasz wykrzywiania historyi dla przypodobania się jakiemuś stronnictwu, niemasz nawet przemilczania prawd historycznych ze względu na te lub owe tegoczesne stronnictwa. Jak Pan zatem widzisz, — czego nie wypowiedziałem w moim artykule o Sienkiewiczu, bo nie mogłem mu siebie przeciwstawić, — piszemy obydwa jedną i tę samą rzecz, ale całkiem inaczej."

List ten istotnie jest ważnem uzupełnieniem krytyki Kaczkowskiego, wyjaśnia jej genezę i powody, dla których napisaną została. Kaczkowski zarzuca tu wprost Sienkiewiczowi „wysługiwanie się" znienawidzonym przez autora „Teki Nieczui" Stańczykom, przemilczanie pewnych niemiłych temu stronnictwu faktów, „wykrzywianie historyi" *ad usum Delphini*, przeciwstawiając mu swoją rzekomą bezstronność, a zapominając, że nie było może pisarza, któryby tak widocznie, jak on, ulegał prądom chwili i przepajał swe powieści, zwłaszcza współczesne, uderzającą w oczy tendencyą, że wspomnimy tu tylko „Dziwożonę", postacie Kamila i Drabika, „Żydowskich" i Wichra, a nawet „Rozbitka" z dysertacyami o szlachcie i ukłonem w stronę Feliksa Sobańskiego, głównego akcyonaryusza warszawskiej „Kroniki", której redakcyę miał podówczas objąć Kaczkowski. Tendencya niewątpliwie była inna, niż ta, którą Kaczkowski w dziełach Sienkiewicza upatrywał, inne bowiem było tło i zakres inny tych utworów, ale zawsze istniała, a chwiejnością swoją zniechęcała nieraz rozmaite stronnictwa, zkąd poszło, że Kaczkowski nie znalazł oparcia w żadnem, gdy tego oparcia tak bardzo potrzebował.

Na podłożu tej animozyi do Stańczyków wybujała niechęć zawistna ku Sienkiewiczowi, którego talent olbrzymi w duchu uznać jednak musiał Kaczkowski. Pocieszał się wszakże przewidywaniem, że talent ten nie wyda spodziewanego plonu. Oto co pisze dalej w tymże liście do Adama Krechowieckiego:

„Co do Sienkiewicza, to pisząc do Pana prywatnie, powiadam otwarcie i szczerze, że jest to talent ogromny i *parfaitement de taille*, aby nas wszystkich powieściopisarzy, sobą przywalić. Gdyby mu się to udało, to byłoby to wypadkiem bardzo szczęśliwym dla

naszej literatury, bo mogłaby się od niego, jak niegdyś od Mickiewicza, zacząć nowa epoka dla naszego piśmiennictwa. Ale niestety! nie można się tego spodziewać, bo mu do tego wiele brakuje. Ma tylko talent, ale nic więcej. Brakuje mu przedewszystkiem literackiego i artystycznego (sic!) ukształcenia. Jak widać z tego, co pisze, nietylko nie zna arcydzieł literatur zagranicznych, ale nawet nie ma o tem pojęcia, jaka ich wartość. Przeczytał głośniejsze polskie i zagraniczne powieści i na tem koniec. Ścisłe nauki nigdy mu się nawet nie przyśniły. Tak samo nie zna polskiej historyi z nauki i odgaduje ją tylko instynktem (!). Niema też w nim patryotycznej miłości dla dziejów polskich (!), tylko artystyczny zapał do historycznych obrazów. Stąd idzie niesumienne (!) posługiwanie się historyą do tworzenia artystycznych efektów, zupełnie tak samo, jak to robią malarze dekoracyi dla teatrów. Co gorsza, nie ma żadnych zasad ani moralnych, ani politycznych, instynktowy zwolennik szkoły naturalistycznej, stoi na czele klerykalno-arystokratycznego dziennika. Lecz co najgorsza, to to, że, jak mi piszą z Warszawy, jest przepełniony tem przekonaniem, że jego sława literacka jest zrobiona i nie potrzebuje się troszczyć o to, co o nim krytyka pisze. Wszystko poprzednie dałoby się jeszcze naprawić, bo człowiek wszystkiego się może nauczyć, ale kto powie, że się niczego więcej uczyć nie potrzebuje, z tego z pewnością nic więcej nie będzie nad to, co jest. A to, co jest, nie nada nowego kierunku naszej literaturze."

Ustęp ten pisany cały tą samą metodą, co i znana nam krytyka. Najpierw pochwała, a w ślad zatem staranne jej zamazywanie, i to w ten sposób, aby nic z niej nie zostało, a raczej, aby miejsce pochwały zajęło stanowcze potępienie.

Czy jednak „Abraham Kitaj" mógł wartością swoją stanąć w szranki z utworami Sienkiewicza z jakimikolwiek widokami zwycięstwa? Już sam autor przewidywał, że powieść jego „może znaleźć czytelników, ale nie sprawi żadnego wrażenia" [1]); przyznawał też, że „jest w tem wielka odwaga, iż występuje z historyczną powieścią w takiej chwili, gdzie publiczność nasza znajduje się pod świeżem wrażeniem olśniewających obrazów Sienkiewicza, odwaga tem większa, że za nim stoi cała falanga hałaśliwego stronniatwa" [2]). Chcąc jednak na przekór owym „olśniewającym obra-

---

[1]) List do Adama Krechowieckiego z Paryża, z d. 24 października 1885 r. Ms.

[2]) List do tegoż z Paryża, z d. 9 listopada 1885 r. Ms.

zom". postawić, jak sądził, bezwzględną „prawdę historyczną i psychologiczną", pozbawił te prawdę wszelkich istotnych żywiołów artyzmu, pisał suchym, kronikarskim niemal stylem, zachował wprawdzie miarę w układzie i grupowaniu obrazów, ale tę miarę posunął tak daleko, że tryumfatora z pod Wiednia, Sobieskiego, przedstawił w niezwykłem pomniejszeniu, kładąc główną wagę nie na jego geniusz militarny, lecz na wady i niedostatki człowieka, na brak politycznego zmysłu i monarszej godności. Przyznaje wprawdzie, że był to „żołnierz, nie mający sobie równego w swoim czasie", — lecz równocześnie podnosi, że był „nieudolnym mężem stanu, zręcznym czasami w kabałach, lecz nie posiadającym ani umiejętności badania przyczyn, ani daru przewidywania odleglejszych wypadków, ani stałości w raz powziętych zapatrywaniach... Pod jego berłem Polska zalśniła kilkoma świetnymi wojennymi czynami, ale w przeciągu lat dwudziestu pod wszystkiemi innemi względami daleko niżej upadła, niżeli przed nim w biegu lat kilkudziesiąt. Władza królewska, której on nigdy wyżej podnieść nie umiał nad urząd równego wszystkim szlachcica... straciła za niego ostatki majestatycznego uroku i wszelką monarchiczną powagę".[1])

Nawet Odsiecz Wiedeńska straciła w przedstawieniu Kaczkowskiego swą bohaterską barwę. Zeszła do znaczenia niemal epizodu, w którym główną rolę napadu na namiot Wezyra odegrała chorągiew Zwierżchowskiego i awanturnicze wysunięcie się naprzód zapalczywego Kitaja, — przyczyną główną wiktoryi stał się paniczny popłoch wśród Turków...

Nieszczególnie też wygląda w tem przedstawieniu rycerstwo polskie, owi „szlachcice-żołnierze, ci towarzysze, którymi się po największej części okrywają nasze chorągwie". Biją się wprawdzie walecznie, ich to impetom zawdzięcza się wszystkie zwycięstwa, ale to jedyny pożytek. Są to wichrzyciele, zasilający wszelakie związki wojskowe i konfederacye, procesowicze i — zbóje, „głupi a burzliwi, ciemni a srodze ambitni, bawiący się obżarstwem i opilstwem: domy ich bywają karczmami dla pijaków i łuszczybochenków... Taki wyrok na „szlachciców-żołnierzy" wydaje mądry statysta a człowiek zacny, chociaż nieco dziwak, imćp. Borowski[2]), którego córka, Krzysia, poślubiła prawego rycerza, Rafała Kitajgrodzkiego, lecz skrycie rozmiłowała się w jego bracie przyrodnim, bohaterze powieści, owym awanturniczym Abrahamie Kitaju. Jest

---

[1]) „Abraham Kitaj", t. II., str. 371.
[2]) Tamże, str. 107. 108.

to jakiś rodzaj Raubrittera, który ze swą bandą zbrojną pali wsie i miasteczka i rabuje, nie chcąc widzieć różnicy pomiędzy takim hersztem bandy zbójeckiej, a rotmistrzem królewskim, który na czele żołnierzy wojnę toczy z nieprzyjacielem. Na tym jednak awanturniku skupia się, jako na bohaterze powieści, cała uwaga czytelnika i cały artystyczny wysiłek autora. Autor widocznie pragnął obudzić w czytelniku dla Kitaja współczucie, że pomimo swego istotnego męstwa i dzielności, nie mógł znaleźć w Polsce zadowolenia swej ambicyi, nie zdołał też posiąść ukochanej i rozmiłowanej w nim Krzysi, która pozostała wierną jego bratu, Rafałowi, i nie dała się Abrahamowi porwać, jakkolwiek ku niemu wyrywała się jej dusza. Czy takie współczucie zdołał autor w czyjemkolwiek sercu obudzić — wątpić się godzi, a raczej należy się dziwić fenomenalnemu wprost uczuciu zacnej Krzysi, która mając szlachetnego męża, zwraca się całem sercem ku ogłoszonemu za infamisa i banitę Kitajowi i po jego niezaszczytnej śmierci w pojedynku z kasztelanem Fredro, porzuca zrozpaczonego męża i synka i chroni się przed dręczącem ją „widmem" Abrahama w ciszę klasztorną...

Już samo wysunięcie na plan pierwszy, w tak świetnej dla rycerstwa polskiego epoce, takiego awanturnika-zbója, jak Abraham Kitaj, jest dziwnym pomysłem, obliczonym chyba na to, aby przyćmić bohaterstwo tego rycerstwa, a wykazać wybujałość nieokiełznanego temperamentu polskiego, wcielonego w takich Łaszczach i Kitajgrodzkich, których ostatnim potomkiem miał być ów „Mąż szalony", bohater jednej z najlepszych powieści Kaczkowskiego z czasów młodości.

Czy „zwierciadło historyi" w „Abrahamie Kitaju" jest proste czy „krzywe", o tem rozstrzygać nie naszą jest rzeczą, — to jedno podnieść możemy, że jak z „Grafa Raka" nikt się nie będzie uczyć i nie nauczy astronomii, tak z tej powieści z czasów Jana III. nikt także nie poweźmie należytego wyobrażenia ani o tym wielkim wodzu, ani o jego epoce. Wyniesie zaś niewątpliwie wrażenie ujemne, niemal przygnębiające... Od dzieła sztuki czegoś innego wymagać można i potrzeba. Wymagać można pokrzepienia na duchu, budzenia wiary w siłę niepożytą narodu, miłości rzeczy ojczystych, nadziei w lepszą przyszłość, której zarody tkwić musiały w tej przeszłości. Nic z tego nie daje czytelnikowi „Abraham Kitaj". Inaczej przecież sądził o narodzie swoim Kaczkowski, gdy kreślił w r. 1862 w celi więziennej entuzyastyczną niemal pochwałę niepożytej jego siły w najcięższych nawet chwilach przed i po-

rozbiorowych. A właśnie w takim historyozoficznym poglądzie byłoby stosowniejsze może miejsce na krytykę wad i ułomności społecznych, — niż w powieści, przeznaczonej dla warstw szerszych, szukających w niej nie rozważań krytycznych, lecz obrazów, chociażby oświetlonych „ogniem bengalskim efektów“. Tych efektów, na przekór Sienkiewiczowi i owej „hałaśliwej falandze“, rzekomo za nim stojącej, wystrzegał się pilnie Kaczkowski i stworzył rzecz zimną, suchą, nie wolną od zgoła zbytecznych dygresyi i rozwlekłości. Podniesione na szczyt najwyższy przez Sienkiewicza bohaterstwo rycerstwa polskiego, zniknęło w tej powieści bez śladu: zajęło jego miejsce jakieś awanturnictwo zbójeckie, a to rzekomo w imię „prawdy historycznej i psychologicznej“!

Krytyka przyjęła „Abrahama Kitaja“ w ogóle zimno, nie wchodząc głębiej w treść rzeczy; niektóre jednak pisma zwróciły uwagę na powyższą tendencyę, ubliżającą rycerskości narodu, co Kaczkowski, w liście do hr. Edmunda Krasickiego, nazywa „przewrotnością krytycznego sumienia“ i żali się, że „Jezuici w „Przeglądzie Powszechnym“ nazwali go za „Abrahama Kitaja“ nieprzyjacielem szlachty“, które to zdanie „potwierdził Tarnowski w swoim nadwornym „Przeglądzie Polskim“. — chociaż on, Kaczkowski, „jak najsumienniej przedstawił Sobieskiego i jego czasy“ i chociaż „demokracya przez lat dwadzieścia kamienowała go za to, że był pisarzem szlacheckim“. [1])

Zaznaczyliśmy już powyżej powody, dla których Kaczkowski w żadnem istotnie stronnictwie nie miał i nie mógł znaleźć poparcia — Obóz demokratyczny nie mógł mu darować Kamila z „Dziwożony“ i „Żydowskich“, nie mógł mu darować, co w swych notatkach rękopiśmiennych zarzuca mu K. Estreicher: „pięcia się do panów“, — między nim a stronnictwami zachowawczemi stanął krwawy pamflet polityczny „Teka Nieczui“. Nie lubiono go powszechnie, ztąd jednak nie wynika, aby krytyka „Abrahama Kitaja“ była stronnicza, raczej stronniczym i niesprawiedliwym był Kaczkowski w przedstawieniu bohaterskiej epoki Jana III.

Inne krytyki Kaczkowski lekceważył. Ukazała się mianowicie recenzya Chmielowskiego w „Ateneum“ i Korotyńskiego w „Gazecie Warszawskiej“. Z obu tych krytyk — pisze Kaczkowski — „widzę, że u nas nawet krytycy i estetycy są jeszcze pod wpływem obrazów zalanych krwią i oświeconych czerwonym płomieniem, a dla opowiadań spokojnych, przedstawiających przeszłość z na-

[1]) List z Wildbad (Würtemberg), z d. 17 sierpnia 1887 r. Ms.

ukową ścisłością, zmysłu nie mają. Że smak publiczności popadł w taką aberracyę, temu się dziwić nie można... ale że krytycy, których obowiązkiem jest stać na straży dobrego smaku i wyższe cele wskazywać sztuce i literaturze, nie idą za tymi wyższymi prądami, które dzisiaj panują w Europie zachodniej, tylko chwilowemu smakowi publiki schlebiają, to jest dowodem, że u nas jeszcze wiele lat, a może i nowych pokoleń potrzeba, nim umysł publiczny podniesie się nad ten niski poziom, do którego go przygniotło rozbicie, spowodowane ostatniem powstaniem".[1])

W r. 1887 zaczęła ukazywać się w odcinku „Gazety Lwowskiej" nowa powieść Kaczkowskiego p. t. „Olbrachtowi Rycerze", która następnie (1889) wyszła w książkowem wydaniu we Lwowie w 3 tomach, nakładem Gubrynowicza i Schmidta. — Widzieliśmy już poprzednio, że o takiej powieści z czasów Olbrachta marzył Kaczkowski oddawna, jeszcze w epoce młodzieńczej, i zbierał do niej materyały. W jego rękopiśmiennej puściźnie znajdujemy też rozliczne notatki, odnoszące się do panowania Olbrachta. To też ta powieść, zwłaszcza w pierwszych dwóch tomach, ma piętno młodzieńczej jeszcze niemal werwy. Nie braknie tu nawet ani „ogni bengalskich", ani „efektów" w kreśleniu szczególniej scen obyczajowych, a z tych wiele nie nadaje się do „głośnego czytania w wykwintnym salonie", jak to zarzucał Kaczkowski Sienkiewiczowi. Odstąpił więc tu nieco od głoszonych z taką emfazą zasad, a raczej może nie odstąpił, lecz owe sceny obyczajowe i charakterystyka niektórych osób napisane były dawniej, przed laty, zanim jeszcze te surowe zasady zastosowane być mogły do Sienkiewicza i znienawidzonej „falangi", stojącej rzekomo za nim.

„Fabuła tej powieści — jak sam autor w liście do Adama Krechowieckiego przyznaje[2]) — dawno już wymyślona." Materyały jednak zbierał do ostatnich czasów i studyował epokę, wczytując się w kroniki i dzieła niemieckie i francuskie. „Praca to — pisze — nie zabawna, bo książki te pisane starym owoczesnym językiem i współczesną ortografią, a owoczesna łacina także nikogo nie rozweseli. Ale przebrnę ten las do końca".[3]) — Przejrzał też w tym celu wszystkie polskie powieści, bliskie tych czasów, ale znalazł w nich tylko — jak powiada — „bezstrojną mieszaninę, a mu-

[1]) List do Adama Krechowieckiego z Paryża, z d. 28 listopada, 1886 r. Ms.

[2]) List z Gastein, z d. 31 maja 1886 r. Ms.

[3]) List z Karlsbadu, z d. 15 maja 1886 r. Ms.

zyki żadnej, odpowiedniej duchowi owego czasu; przeglądam teraz powieści zagranicznych pisarzy z epok pobliskich i są tam bardzo piękne rzeczy... Muszę przyznać, że i polscy pisarze, którzy sięgali mniej więcej w te czasy, miewali tu i ówdzie szczęśliwe natchnienia, być może, że i materyały spożyli, ale widocznie ich nie strawili i nie mieli cierpliwości przeżuwać ich tak długo i tak uporczywie, aż pókiby się z nich nie utworzył materyał ich własny, a z tego materyału utwor ich własny od początku do końca".

„Moja powieść" — pisze znów w liście z Paryża z dnia 11 października 1886 [1]) — obejmuje całą Rzeczpospolitę ze wszystkimi ówczesnymi Stanami i społecznemi warstwami, jaką była w ostatnich latach XV. w. Jest powieść Miłkowskiego z tych samych czasów p. t. „Za króla Olbrachta", ale Miłkowski, mimo niezaprzeczonego talentu, nie przestudyował tej epoki w źródłach i pomieszał w niej figury z rozmaitych wieków, tak samo, zresztą, jak to robi Sienkiewicz w swych powieściach. Ja starałem się postępować pod tym względem z najskrupulatniejszą dokładnością i wyobrażam sobie (może zresztą niesłusznie), że z lepszem prawem, niżeli to zrobił Scheffel w swojej przedmowie do Eckharda, mogę powiedzieć, że żadna z moich figur, o ile jest przedstawiona jako typ swego wieku, nie da się o dwadzieścia lat przesunąć ani w tył, ani naprzód. Sądzić o tem będzie umiejętna krytyka, jeżeli ją mieć będziemy do tego czasu, bo ta, jaką mamy w czasie bieżącym, razem z Chmielowskim, nie jest w stanie osądzić pod tym względem dokładnie historycznej powieści: ci Panowie sami nie znają historyi ze źródeł, jakże mogą rozpoznać, czy ten lub ów typ jest z tego wieku?"

„Gazeta Lwowska" rozpoczęła druk „Olbrachtowych Rycerzy" d. 1 sierpnia 1887 r. i dając wielkie fejletony, niemal bez przerwy, ukończyła tę powieść z ostatnim grudnia tegoż roku. Obudziła ona znacznie większe niż „Abraham Kitaj" zajęcie, na co też bezwzględnie zasługiwała nietylko barwnością obrazów, lecz i tem, że dawała, o ile to być może, wierne przedstawienie obyczajów i życia w tej odległej epoce. Kaczkowski istotnie nie szczędził studyów i objął rzeczywiście w swej powieści wszystkie stany Rzeczypospolitej. Pięknym, szlachetnym przedstawicielem rycerstwa polskiego jest rotmistrz królewski Gniewosz, nieco awanturniczymi postaciami są Olizar Kierdejowicz, a zwłaszcza na poły Polak, a na poły Francuz, Kergolaj; na tle epoki maluje się wyraziście dzielny,

[1]) do Adama Krechowieckiego. Ms.

lecz bardzo nieszczęśliwy rotmistrz Lenard Suchywilk Grzymalita, Wilczkiem zwany. Stan mieszczański godnie reprezentuje zacny stary Ormianin Epaminondas Arzebok Chiaao, zwany Kijasem, a przy nim humorystycznie zabarwiony włodarz jego, Kundrat. Postać króla Jana Olbrachta rysuje się dość blado, mniej więcej jednak zgodnie z tradycyą, jaka po nim została. Wspaniałomyślny, hojny, dobrego serca, mający wielkie plany, z którego jednak żadnego przeprowadzić nie zdołał, stał się, ulegając radom Kallimacha, niepopularnym w narodzie szlacheckim, a swawolnem, rozpustnem życiem dawał niejednokrotnie powód do zgorszenia. Nieszczęśliwa wyprawa wołoska znajduje w powieści dość blade, chociaż historycznie wierne odbicie, jakkolwiek i tu także niezbyt plastycznie występuje bohaterstwo jazdy królewskiej, która dzielnością swą ocaliła znaczną część chorągwi ze zdradzieckiego pogromu.

Brat królewski, kardynał Fryderyk Jagiellończyk nie znalazł łaski u Kaczkowskiego. Przyznaje mu wprawdzie gorliwość a raczej skrupulatność w załatwianiu spraw kościelnych, lecz opiera się, zdaje się, głównie na relacyi Miechowity, pisanej po za granicami kraju, której bezpodstawność, na podstawie źródłowych badań, wykazali ks. Korytkowski i Ign. Polkowski. W powieści Kaczkowskiego w scenie głównej, pomiędzy Fryderykiem a Wilczkiem, kardynał przedstawia się czytelnikowi jako pijanica i rozpustnik, a przecież był to książę wielkiego rozumu i zasług, który odegrał pierwszorzędną i zaszczytną rolę w Polsce tak na polu kościelnem, jak i politycznem. W czynach swych okazywał się zawsze wielkim miłośnikiem Ojczyzny, którą za Olbrachta, w czasie jego wypraw wojennych, rządził przezornie i rozumnie, a za Aleksandra, zajętego sprawami litewskiemi, miał władzę królewską z prawami monarszemi (tytułem Majestatu). Niechętny wyprawie wołoskiej, gdy Olbracht zdecydował się na nią, nie szczędził jednak ofiar dla poparcia brata w tem ryzykownem przedsięwzięciu. On to później, zapewniwszy po śmierci Olbrachta wybór drugiego brata, w. ks. Litewskiego Aleksandra, przeprowadził — i to jest jego największa zasługa — odnowienie Unii, „aby był jeden ród, jeden naród, jedno braterstwo", on to wreszcie usilnie zawsze starał się o to, aby wzmocnić i utrzymać związek pomiędzy społeczeństwem a władzą monarszą. Jako dostojnik kościelny dbał ściśle o odbywanie nabożeństw, zwoływał niemal co roku synody prowincyonalne i dyecezyalne, założył szpital w Gnieźnie, uposażał hojnie kościoły gnieźnieńskie i krakowskie. W każdym więc razie zasługiwał na inne

przedstawienie w powieściowym obrazie, gdzie widzimy go z kielichem w ręku, ledwie trzymającym się na nogach, pośród orgii pijackiej.

Lepiej znacznie przedstawia duchowieństwo ówczesne eremita, mnich-rycerz, z rodu Kmitów, O. Chryzostom. — Prowadzący życie kontemplacyjne, używający sławy „cudotwórcy“, szukający zawsze natchnienia, czy też objawienia w modlitwie, wymową swą ognistą, poruszający tłumy, ginie wreszcie śmiercią bohaterską, upominając niesfornych, pod Suczawą. Jako opiekun nieszczęśliwej Jagienki Kmitówny okazuje się wszakże niemiłosiernie nieugiętym i zmusza ją, wbrew jej woli i sercu, oddanemu Wilczkowi, do poślubienia dzielnego wprawdzie, lecz niekochanego Gniewosza, czem staje się powodem jej życiowej katastrofy i śmierci, a unieszczęśliwia na zawsze i wykoleja Wilczka.

Najbardziej jednak charakterystyczną postacią w powieści jest rzekomy ksiądz Wara, zwany Białym. Nie jest on, zdaje się, księdzem, ale księdza udaje — z powodzeniem. Kłamca zawołany, odbywa niby pielgrzymki do Ziemi Świętej, a czas spędza na pijatyce w gronie szlachty i nieszlachty; żyje z oszukaństwa i pospolitej kradzieży. On to, gdy Gniewosz, wzięty do niewoli pod Suczawą, uważany jest za zmarłego, daje za pieniądze, w adwencie, ślub Wilczkowi z Jagienką, która zbyt naiwnie wierzy w legalność tego ślubu, a gdy po roku spostrzega wracającego z niewoli Gniewosza, rzuca się w oszołomieniu, wraz ze swem dzieckiem, w niezgłębioną przepaść pod zamkiem Wilczka w Tustaniu.

Bądź co bądź postać owego Wary jest pełna życia i sama sobą ożywia powieść całą. Zachodzi tu jednak pewne nieporozumienie. W „Przeglądzie Polskim“ z r. 1889 pojawiła się krytyka, czyli, jak powiada Kaczkowski [1]), „jakieś pensum, napisane przez jakiegoś studenta *par ordre du Mufti* [2]), w którem oprócz braku plastyczności obrazów zarzucono, że „figura Wary jest ukradziona z jakiejś niemieckiej powieści“. Krytyk ten — bardzo niegrzecznie przez Kaczkowskiego tu nazwany — „a zarazem i Mistrz jego (to jest Stanisław hr. Tarnowski) nie wiedzą, że Xandz Byali, recte de Wara, jest historyczną (?) figurą, o którego istnieniu jest aż nadto śladów rękopiśmiennych w archiwach, a nawet w Aktach grodzkich i ziemskich Sanockich, wydawanych przez Liskego. Ja

[1]) List do Adama Krechowieckiego z Paryża, z d. 10 kwietnia 1889 r. Ms.

[2]) Oczywiście Stan. Tarnowskiego.

miałem materyały do życia Wary, Kergolaja i Kmity z archiwów mego dawnego przyjaciela p. Edmunda Krasickiego, rezydującego na zamku Liskim, który chociaż 80-letni własnoręcznie mi je z oryginałów przepisał. *Aber grosse Geister genirt das nicht,* p. Tarnowski obwinia mnie lekkiem sercem o plagiat.“

Mamy przed sobą list Kaczkowskiego do Edmunda hr. Krasickiego, pisany z Wildbad d. 17 sierpnia 1887 r., w którym, zawiadamiając go, że druk „Olbrachtowych Rycerzy“ rozpoczął się już w Gazecie Lwowskiej“, dziękuje mu za przysłane w swoim czasie „wyciągi z aktów Kmitowskich“. O Kergolaju i owym księdzu Białym niema tam wzmianki. — Natomiast w aktach sanockich grodzkich i ziemskich wspomniani są kilkakrotnie Chrzistko (Krystyan) de Wara i Mikołaj Xandzbyali de Wara, pomiędzy rokiem 1441 do 1447. Nazwisko to, a raczej przezwisko Xandzbyali, pisane jest rozmaicie: Kxansbyali i Kxandzbyali, zawsze w jednym, niepodzielnym wyrazie. I tak n. p. w aktach ziemskich sanockich z r. 1445 czytamy: „Nobilis Nicolaus alias Kxandzbyaly“. W tym roku ów Kxandzbyaly był żonaty i tej żonie swojej, „Generose Katherina“ zapisał „racione dotis et dotalicii quadraginta marcas comunic pecunie super medietate omnium suorum bonorum hereditariorum“ [1]). To już samo dowodzi, że ów Kaczkowskiego ksiądz Biały księdzem wcale nie był i w Sanockiem nie mógł odgrywać nawet roli księdza, powszechnie bowiem było wiadomem, że miał żonę, a z nią syna Mikołaja. — W r. 1447, t. j. jeszcze nietylko przed elekcyą, lecz nawet przed urodzeniem Olbrachta, ów Kxandbyaly już nie żył, wówczas bowiem w aktach sanockich występuje: „Generosa Katherina relicta Kxandzbyali cum Nicolao filio suo“ [2]). A w powieści Kaczkowskiego ów ksiądz Biały żyje, działa, śluby daje i okłamuje wszystkich jeszcze po wyprawie wołoskiej (1497), t. j. w lat pięćdziesiąt po śmierci Kxandzbyalego.

Z tej niedokładności w datach nie czynimy bynajmniej autorowi „Olbrachtowych Rycerzy“ zarzutu, zwłaszcza, że trudno nazwać owego Kxandzbyalyego — jak to czyni Kaczkowski — „historyczną“ postacią, w historyi bowiem nie zapisał on swego, zresztą nieustalonego jeszcze, nazwiska, występuje tylko w aktach sanockich przy załatwianiu spraw familijnych i majątkowych. Brzmienie jego nie nazwiska, lecz raczej przezwiska, które bezpodstawnie dzieli Kaczkowski na dwa wyrazy, poddało autorowi prawdopodo-

[1]) Akta grodzkie i ziemskie, t. XI., str. 252.
[2]) Tamże, str. 294.

bnie myśl zrobienia z niego księdza, wcale nie „białego“, bo złodzieja i oszusta, a choćby nawet przytem korzystał z niemieckich czy innych źródeł, o to także mniejsza: dość, że stworzył postać charakterystyczną i zajmującą, a mniej więcej przystosowaną do epoki.

Że Kaczkowski korzystał przy tworzeniu tej powieści ze źródeł obcych, to nie ulega wątpieniu. Wszystko to, co się dało przystosować do Polski Olbrachtowej z dzieł: Büschinga, Klübera, z pamiętnika Hansa von Schweinichen i innych, to spożytkował w swej powieści. Korzystał też niewątpliwie, zwłaszcza co do ubiorów, broni, igrzysk rycerskich, turniejów, festynów, z dziełka Antoniego de La Salle p. t. „L'Hystoyre et plaisante cronicque du Petit Jehan de Saintré“. — które jest opowieścią rycerską, mającą służyć ku instrukcyi młodych rycerzy, a wydaną w wieku XV.

Korzystał też niemało z ustnych podań. Zamek Kmitowski w Sobniu — jak sam przyznaje w liście do hr. Edmunda Krasickiego z Wildbad, z d. 17 sierpnia 1887 r.[1]), — opisał z fantazyi, według kronikarskich wskazówek o takich zamkach w Polsce. „Charakter Stanisława Kmity — dodaje — skoncypowałem z niektórych wzmianek o nim, jakie znalazłem w Aktach grodzkich i ziemskich“. Mówiąc nawiasem, wzmianek tych jest bardzo niewiele i nie dają wyobrażenia o charakterze człowieka. Z legend i opowiadań starych ludzi o zamku Sobieńskim wziął autor główną niemal osnowę powieści, a mianowicie szczegóły o wydaniu przymusowem Jagienki Kmitównej, rozmiłowanej w Wilczku, za Gniewosza. „Opowiadał mi także — pisze Kaczkowski — podobne bajki jenerałowicz Rzuchowski i Wolski. Zastosowałem to do ducha czasu, jak go wyrozumiałem z kronik współczesnych.“ W szczegółach „o zamku Tustań — twierdzi autor — i mieście Tustaniu (jedyne miasto polskie, które zniknęło bez śladu) jest bardzo wiele prawdy: legenda zaś o rycerzu, mieszkającym na zamku Tustańskim, i o zniszczeniu zamku, w rozmaitych wersyach do dziś dnia istnieje między ludem tamtejszym. Mnie ją opowiadała w r. 1850 pani Pietruska w Łubieńcach, matka Teofila i Badeniowej. Pisał zaś o niej Mikołaj Przedrzymirski z Maćkowic w broszurze z tegoż samego roku, jednak dziś bardzo rzadkiej.“ [2])

---

[1]) Udzielony mi łaskawie przez hr. Ignacego Krasickiego. Ms.
[2]) „Truskawiec z okolicami“ opisał Mikołaj z Maćkowic. Poznań, 1850. Str. 32.

To zniszczenie obronnego i silnie zbudowanego „ze skały i kamienia“ zamku przez burzę z piorunami, bardzo nieprawdopodobne, przedstawione bez należytej plastyki przy końcu powieści, nie wywiera też należytego wrażenia i wydaje się tem nieprawdopodobniejsze. W tym elementarnym pogromie ginie Wilczek, na poły już oszalały po tragicznej śmierci Jagienki, a z którym niewiadomo, co było dalej robić, i ów Kxandzbyaly, także już zgoła niepotrzebny, o który raz przecie nie skłamał, ginąc pod walącymi się murami zamku. Z pozostałych przy życiu — a jest ich bardzo niewielu — bohaterów powieści, główny niejako bohater, Gniewosz, poślubia w końcu ukochaną oddawna Formozę Murysonównę, nieszczęśliwą małżonkę syna kupca ormiańskiego Kijasa, Tigranesa, który okrutną śmiercią zginął na murach Suczawy. Włostek, syn kmiecy, poślubia Ofkę, córkę dzikiego Biłowusa, a nieszczęsną ofiarę namiętności Wilczka, wreszcie Kundrat, włodarz Kijasa, żeni się z piękną a zalotną Pachną, która, jak przed ślubem, tak i po ślubie, zdradza go z rozmaitymi, nawet z królem Olbrachtem, a ostatecznie z „cavaliere di gran Grido“, Kergolajem, który jako „valeureux et courtois chevalier, mais grand trompeur des dames“, poszedł zapewne dalej rozbijać się po świecie, jeżeli go Kundrat w przystępie zazdrości o żonę przed tem nie uśmiercił.

Tytuł powieści jest wybrany właściwie, istotnie bowiem niema tu, ściśle biorąc, jednego bohatera, — bohaterem jest rycerstwo polskie, owi „Olbrachtowi Rycerze“, przedstawieni bynajmniej nie w heroicznych blaskach, wywierający nawet chwilami ujemne wrażenie, zwłaszcza w porównaniu z mieszczaństwem, zacnem jak Daszkiewicz, oświeconem a nawet uczonem jak Kijas, studyujący Platona i zagłębiający się w zagadnienia filozoficzne.

W ciągu druku „Olbrachtowych Rycerzy“ w „Gazecie Lwowskiej“ pisał Kaczkowski o swym własnym utworze, co następuje: „Powieść ta sprawia na mnie wrażenie, jakoby jej wykład był zanadto szeroki, „breit geschlagen“, jak mówią Niemcy. Miałem wszakże do tego dwa powody: jeden ten, że krytycy „Kitaja“ zarzucili mi prawie jednogłośnie, że jego wykład jest zanadto ścisły, — a drugi ten, że chciałem dać szczegółowy obraz tej epoki, naszej wielkiej publiczności, prawie całkiem nieznanej.“ [1])

W każdym jednak razie i cokolwiek możnaby zarzucić temu utworowi, jest to powieść daleko lepiej, niż inne Kaczkowskiego,

[1]) List do Adama Krechowieckiego z Paryża, z d. 26 października 1887 r. Ms.

zbudowana, a dająca istotnie żywy obraz współczesnego życia, obyczajów i kultury. — Plan główny, a może nawet główniejsze ustępy tej powieści, skreślone były niewątpliwie w latach dawnych, bo, jak to, na podstawie własnego listu Kaczkowskiego, wykazaliśmy, jeszcze w r. 1853, — ale samo opracowanie całości niemało wymagało trudu. „Pisanie takich rzeczy — wyznaje autor w cytowanym już liście do hr. Edmunda Krasickiego — po 61 roku życia już skończonym, nie jest zabawką, jak niegdyś za młodu. Ale chciałem napisać coś z tych czasów, aby to było zgodne z historyą, którą dziś przez lenistwo lekceważą powieściopisarze, a krytyka jeszcze im do takiego świętokradztwa ochoty dodaje. Dziś u nas świat przewrotny."

Nie obeszło się więc i przy tej okazyi bez docinku w stronę Sienkiewicza i owej „falangi", stojącej rzekomo za nim.

Adam Krechowiecki

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Karol Baliński.

(Studyum biograficzno-literackie.)

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ IV.

(Rok 1848 i nadzieje z nim wiązane. — Stan szkół galicyjskich przed r. 1848. — Ruch literacki we Lwowie. — Nowe idee i kierunki literackie przed wystąpieniem Mickiewicza. — Przyjazd Balińskiego z Warszawy do Lwowa i znajomość jego z literatami lwowskimi. — Wypadki r. 1848 i udział w nich naszego poety. — Wyjazd z Galicyi do Księstwa Poznańskiego. — Pierwszy tom poezyj Balińskiego p. t. „Pisma". — Rozbiór utworów w tym tomie zawartych. — Wyjazd Balińskiego z Poznania do Paryża.

Wybuch rewolucyi lutowej we Francyi w r. 1848 powitał Baliński entuzyastycznym wierszem „Piosnka". bo w duszy jego odżyły znów nowe nadzieje:

Wkrótce hymn ludów, potężny, rozgłośny,
Powita świętej wolności zaranie!
Powróć mój głosie! słaby, lecz radośny!
Chcę jeszcze śpiewać Polski zmartwychwstanie!

W dalszej zwrotce przebija radość poety, że jego najmilsze marzenia, bezwzględna równość wszystkich stanów. już się urzeczywistniają:

Najmilsze sny, marzeniem niegdś zwane,
Równości myśli, już dziś przychodzą w czyn!
Szlachcic i chłop, imiona zapomniane.
Każdy dziś brat, bo jednej matki syn!
Wszystko się zlało w jeden stan prawdziwy,
W jedno za wolność walczące rycerstwo!
Powróć mój głosie słaby, ale tkliwy,
Mam jeszcze śpiewać: równość i braterstwo!

Myśl przewodnią do tego wiersza zaczerpnął poeta z Berangera, który był jego jednym z najulubieńszych autorów francuskich. Rewolucyę paryską powitał poeta z nieopisaną radością i zapałem, bo spodziewał się, że jej donośne echo odbije się żywo i na ziemiach Polski: i nie pomylił się. Rok 1848 pozostanie na zawsze pamiętnym w dziejach konstytucyonalizmu europejskiego. Rok to szału i niedoścignionych złudzeń, rok wielkich nadziei i przykrych rozczarowań. Rewolucyę francuską powitały wszystkie narody Europy z prawdziwem uniesieniem, bo widziały w jej pochodzie zwiastunkę nowej ery — oczekiwanej oddawna wolności, to też jak iskra elektryczna przeleciała lotem błyskawicy po terenie Europy i porwała narody do walki w imię wolności i niepodległości; odbiła się potężnym odgłosem w stolicach europejskich i ogarnęła je żywym płomieniem. Ujarzmione ludy, jęczące przez wieki pod jarzmem despotyzmu, w obaleniu tronu Ludwika Filipa widziały zagładę i dla innych tronów; w przekonaniu ludów zbliżał się powszechny dzień chwały — dzień tryumfu wolności nad tyranią.

W Berlinie zrewolucyonizowana ludność niemiecka udaje się przed pałac cesarski z żądaniem natychmiastowego wypuszczenia na wolność Polaków, więzionych w Moabicie i oczekujących egzekucyi wyroku sądu berlińskiego za udział w wypadkach r. 1846. Mierosławskiego i Libelta ludność berlińska obnosiła na rękach z okrzykiem: „Niech żyje Polska! — chodźmy na Moskwę!“ Był to zapał prawdziwie szczery, tchnący nieskazitelną ideą wolności. W tym powszechnym entuzyazmie pokładali Polacy wiele nadziei. W Poznańskiem zawiązał się Komitet Narodowy, który wysłał do Fryderyka Wilhelma deputacyę z żądaniem przeprowadzenia reorganizacyi Księstwa w duchu potrzeb narodowych. Król pruski, uwzględniając życzenia deputacyi, wyznaczył specyalną komisyę, w skład której weszli Polacy i Niemcy. W trakcie obrad komisyi nad wprowadzeniem w życie nowych urządzeń, Mierosławski tworzył i gromadził zaciągi powstańcze: Polacy bowiem wierzyli, że w wojnie z Moskwą, na wydanie której godził się król pruski pod naciskiem ludności i wydarzeń marcowych, przy ogólnem powstaniu narodu i przy pomocy innych walczących o wolność ludów — zdobędą niepodległość.

Wśród takich planów szlachty, znów w niwecz obróconych, przyszło w Krakowie do krwawej utarczki wojska z ludnością, a następnie do bombardowania miasta, podczas którego starożytne to miasto poniosło olbrzymie, niepowetowane szkody. We Lwowie

wszelkie dążności i rozporządzenia Rady Narodowej paraliżował nieustannie ówczesny namiestnik hr. Stadion. System germanizacyjny był już oddawna w pełnym rozwoju. Przed rokiem 1848 szkoły w Galicyi miały wybitnie charakter niemiecki. Uniwersytet lwowski, stworzony powtórnie w r. 1817, miał wyłącznie na celu dostarczyć rządowi urzędników uległych. Język polski był uwzględniany tylko jako przedmiot nadobowiązkowy. Plan nauki uniwersyteckiej był zakreślony, a jej poziom dość niski, niezaspakający potrzeb żadnej wiedzy młodzieży. Młodzież więc, chcąc uzupełnić swoje wykształcenie, zwłaszcza w kierunku historyi i literatury ojczystej, wiązała się, podobnie jak w innych dzielnicach Polski, w różne stowarzyszenia, mające cel ściśle i wyłącznie naukowy z wykluczeniem wszelkich zabaw towarzyskich. Zadaniem tych stowarzyszeń było wspólne kształcenie się w języku rodzinnym i jego literaturze, odczytywanie własnych prac literackich i rozprawek naukowych, po których rozwijano ożywioną dyskusyę, by rozjaśnić i wyświetlić niektóre zawikłane i niejasne kwestye naukowe lub literackie. Wśród takiej miłej atmosfery budziła się u młodzieży szlachetna emulacya pracy. Młodzież ta szukała nowych dróg i kierunków twórczości, pragnęła ożywić i odświeżyć literaturę ojczystą, zasklepioną w konwencyonalnych formach i wzorach klasycyzmu francuskiego, chciała stworzyć literaturę specyficznie narodową, na wzorach rodzimych opartą, nadać jej nową, pełną świeżości szatę i tchnąć w nią ducha prawdziwie ożywczego. Literatura ta miała odpowiedzieć naprawdę potrzebom i uczuciom narodu, podczas gdy dotychczasowa, w pięknej todze form i wzorów francuskiego klasycyzmu, nie odpowiadała celom i ideałom młodego pokolenia, które rwało się do lotu potężniejszego, górniejszego, a nie skrępowanego — systemem ustalonych form. Dopiero pod ożywczym urokiem pierwszych poezyj Mickiewicza uwierzyła w urzeczywistnienie swych postępowych dążności literackich. Stworzyła sobie trzy źródła, z których według jej przekonania miały wypływać zasoby świeżych wzorów i form literackich. Jednem z tych źródeł były dzieje narodu od najdawniejszych czasów i jego obecne położenie. Pierwotne dzieje należało wygrzebać z pomroki czasów i stworzyć z nich prastarą historyę narodu, choćby o charakterze napół realnym, napół mitycznym. Położenie zaś obecne powinna poezya wcielać w siebie, aby podtrzymać ducha narodowego i nie dać mu zamknąć się w stanie bezczynnej apatyi; dalej, poezya miała budzić nowe nadzieje i wiarę w zwycięstwo sprawy narodowej, by naród po niepowodzeniach i klęskach nie popadł w otchłań

beznadziejnego zwątpienia. Drugiem nie mniej ważnem źródłem twórczości rodzimej — to poezya. wraz z legendami, zaklęciami. z tym światem bajecznym. który nieraz mocą swej dziwnej intuicyi wydobywa prawdę dziejów. pyłem wieków przyprószoną. Pieśń gminna. to nie pieśń sztuczna, obumarła. ujęta w konwencyonalne kształty. ale pieśń żywa, dysząca pełnią tętniącego życia i rwąca się samorodną strugą natchnienia z piersi ludu. Pieśń sielska. to nie wyraz sztucznej egzaltacyi, ale szczery wylew prawdy uczuć, płynących naturalnym strumieniem z głębi duszy i serca. to pieśń ponętna przez swą prostotę formy, a wdzięczna przez szczerość uczucia. które dotychczasowa poezya pisana krępowała przepisaną z góry według stałych reguł formą. Trzeciem źródłem, z którego tryskać miał zdrój pieśni o charakterze rodzimym. to pieśni pokrewnych plemion słowiańskich i ich tradycya. z którą zlewa się i nasza; ich przeszłość, podobnie jak i nasza. pełna szczytnych uniesień i bohaterskich czynów. zwycięskich tryumfów i bolesnych klęsk w walce o wolność doznanych. Podobieństwo losów zbliża ludy do siebie. a tembardziej ludy krwią i tradycyą spokrewnione z sobą, dźwigające wspólnie jarzmo niewoli i niedoli; dalej jedna i ta sama idea dążności wyzwolenia się z więzów długoletniej niewoli, przyświecała jak gwiazda spokrewnionym szczepom. Ta wspólność położenia i jedność idei pociągały młodych reformatorów literatury w stronę plemion słowiańskich. Literatura rozwijała się więc w trzech kierunkach, wypływając z trzech pokrewnych sobie źródeł. Młodzi autorzy. jak Wacław Zaleski. Ludwik Nabielak. August Bielowski. Łucyan Siemieński i inni. czytając pieśni czeskie i serbskie, poznali poetyczną piękność ich treści i harmonijna podniosłość zewnętrznej formy. Dokonali zatem przekładów na język ojczysty, gdyż chcieli zapoznać ogół z wdziękiem i pięknością pieśni pokrewnych mu plemion, a zarazem wskazać na to trzecie źródło. z którego należy czerpać motywy rodzimej poezyi.

Od chwili ukazania się pierwszych poezyj Mickiewicza, ruch literacki zaczął się rozwijać ogromie szybko, jak pod tchnieniem różdżki czarodziejskiej. Młodzież znalazła naraz w nich niedoścignione wzory piekna i fantazyi, toteż jak po deszczu grzyby wyrastały coraz nowe talenty niepospolite i znakomite. Na gruncie lwowskim działali tacy poeci jak: W. Pol. Kornel Ujejski. A. Bielowski, K. Szajnocha (który zasłużył się przedewszystkiem na polu badań historycznych), Z. Kaczkowski (znany raczej jako powieściopisarz). Łucyan Siemieński, S. Goszczyński i wielu innych niepospolitych pisarzy.

W taką atmosferę wszedł Baliński w r. 1848. kiedy na wieść o wybuchu rewolucyi na Zachodzie zjechał w kwietniu tego roku do Lwowa, nie mogąc doczekać się powstania w Królestwie Polskiem. We Lwowie Rada Narodowa rozwinęła rozleglejszą działalność niż Komitet krakowski. Obywatelstwo zorganizowało Gwardyę Narodową, a młodzież Legię akademicką, której członkiem w drugiej kompanii był nasz Baliński i płomiennemi mowami zapalał młodzież do pracy i wskazywał drogi do odzyskania niepodległości. Z jednej z takich płomiennych mów, będącej zarazem wyznaniem wiary Balińskiego, a z której bije messyaniczny duch „Ksiąg pielgrzymstwa polskiego“ i „Anhellego“ przytaczam tu niektóre ustępy:

„Polska — według Balińskiego — chrześcijańska jest narodem wybranym; cierpi za winy swoje i świata i przez swą pokutę zbawi siebie i ludzkość: Polska jest przedstawicielką chrześcijanizmu. z jej upadkiem chrześcijanizm spoczął w jej grobie, z jej zmartwychwstaniem powstanie i ewangelia Chrystusa, powstanie chrześcijanizm.“ Baliński powiada: „Chrześcijanizm a polskość jest to jedno i tożsamo; nie ma Polski bez chrześcijanizmu, nie ma chrześcijanizmu bez Polski.“ „Świat dzisiejszy nie ma Boga w sercu. Ewangelia leży w grobie Polski.“ „Wrogowie chcieli zabić ducha Polski. lecz nie mogli i nie mogą, bo ona jest nieśmiertelną jak jak nauka Chrystusa: chcieli Polskę zabić dlatego, bo spostrzegli. iż ona chce być chrześcijańską, bo pierwsza zrozumiała Chrystusa i cześć mu oddała, bo pierwsza zarzuciła światu poganizm. bo pierwsza powiedziała głośno, że chrześcijanizm to nie czcza forma. nie próżny obrządek. ale uczucie, ale miłość Boga w ludzkości, ale równość dla wszystkich, ale wolność dla wszystkich. ale szczęście dla wszystkich. ale niebo dla wszystkich!“ Poeta zaprzecza dalej. jakoby świat dzisiejszy był chrześcijańskim. nie popełniałby bowiem tylu mordów na bezbronnych narodach. „Świat dzisiejszy jest pogańskim, a nam (Polakom) trzeba świata chrześcijańskiego. bo my nie z tego świata; my uczniowie Chrystusa. Ewangelia leży w grobie Polski. Aby ją dostać i nowemu światu ogłosić, musimy rozbić grobowe wieko Polski, a rozbić go inaczej nie możemy, jeno duchem tej samej ewangelii. to jest miłością i poświęceniem, — bo my nie łudźmy się. czasy męczeństwa jeszcze nie przeszły! Nie ma Polski bez chrześcijanizmu, nie ma chrześcijanizmu bez Polski. Tą myślą trzeba nam się przejąć do gruntu, tę myśl trzeba całem naszem życiem ogarnąć. Pamiętajmy zawsze, że my jesteśmy prawdziwem nasieniem Chrystusowem, które ma plon wydać dla całego świata. Bóg. jak rolnik. to nasienie. to ziarno. tę Polskę

wrzucił w grób, w ziemię, aby przegniło wszystko, co w niej było podłem i nikczemnem, aby zmartwychwstało z nią wszystko, co w niej było wielkiem i nieśmiertelnem!" Należy unikać, według zdania poety, wszystkich, co żądają Polski z przywilejami, bo to nie bracia w Chrystusie, ale poganie. „O! nie zapominajmy nigdy, że jeden i ten sam jest ołtarz dla wiary, dla religii naszej, co i dla Polski naszej, że my jedynie jesteśmy kapłanami tego ołtarza, dawno już na nim składamy najświętszą krew i wieńce męczenskie; pamiętajmyż, aby życie nasze było tak czyste, jak ta krew i te wieńce, bo inaczej Polski nie będzie! nie będzie! nie będzie!" Zdaniem poety naród Polski, chcąc się dźwignąć, powinien odrodzić się duchowo silnym, moralnie wyższym, tak czystym, jak męczeńska krew, przelana pod znakiem Chrystusa; naród polski powinien być przekonany, że tylko przez miłość Boga i męczeństwo dobije się Polski nieśmiertelnej. Naród polski męczeństwa się nie lęka, bo już przywykł doń, jak do chleba powszedniego, żyje tylko dla Polski, bez której nie ma zbawienia dla świata. Dlatego wszyscy ci, którzy proszą i kłaniają się wrogom w nadziei, że im wrócą Polskę, dopuszczają się podłości, bo jakże ci wrogowie, którzy zabili Polskę z zawiści, że „zrozumiała Chrystusa" i stała się gorliwą Jego wyznawczynią, mogą ją odbudować, gdy ona dalej trwa na silnych podstawach chrześcijanizmu? Oto przekonanie i pogląd Balińskiego na sprawę przyszłości Polski.

Idea messyaniczna Polski, którą ostatecznie rozwinęli wielcy nasi wieszczowie Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, a która przewija się choć w nieskrystalizowanej jeszcze postaci sporadycznie przez ciąg naszej literatury aż do Brodzińskiego, przenika całą tę płomienną mowę Balińskiego, wypowiedzianą na ogólnem zgromadzeniu akademików we Lwowie. Już Skarga w swych proroczych „Kazaniach sejmowych" głosił, że Polska jest przodowniczką Chrystusa, że jeśli ma być godną krzewicielką wiary, musi się moralnie odrodzić; Starowolski w „Lamencie" woła, że Polska jest narodem wybranym, że Bóg rozpościera nad nią szczególną opiekę za jej wierność w świętej Jego wierze; Kochowski w „Psalmadyi" uznaje posłannictwo Polski, lecz zarazem uznaje i jej winy, które ją mogą zgubić; Brodziński i trzej mistrzowie uznają Polskę za niewinną ofiarę ludzkości. Baliński ocenia trzeźwiej fakt upadku Polski i lubo idąc za przewodnią myślą wieszczów, uznaje fakt ten jako pokutę za grzechy ludzkości i jako expiacyę, potrzebną dla zbawienia świata, to jednak nie zamilcza o własnych, ciężkich winach, lecz mówi, że gdy w grobie Polski zgnije to wszystko, co

było w niej podłem i nikczemnem, wówczas Polska powstanie z tem wszystkiem, co było i jest w niej pięknem i szlachetnem.

We Lwowie, w ruchliwem ówczesnem życiu, brał Baliński ożywiony udział. Na zgromadzeniach młodzieży akademickiej przemawiał niejednokrotnie i porywał słuchaczów gorącym zapałem swych mów. Do utworzonego z młodzieży akademickiej legionu Gwardyi Narodowej wszedł i nasz Baliński wraz z bratem Aurelim, który równocześnie z nim przybył do Lwowa, by być czynnym w budzącym się ruchu narodowym. Legion akademicki pozostawał pod władzą Komitetu akademickiego i pod kierownictwem dowódcy, którym mianowano oficera z r. 1831; godnością członka Komitetu zaszczycila młodzież Balińskiego i wybierała go do delegacyi, gdy chciała być należycie reprezentowana. W imieniu młodzieży akademickiej witał delegata francuskiego Karola Diedier, znanego pisarza, którego prowizoryczny rząd francuski wysłał celem zbadania stosunków w Galicyi i w innych krajach. Za jak wielki zaszczyt uważał sobie Karol godność żołnierza Gwardyi Narodowej, swiadczą słowa Ujejskiego: „Żaden carski generał nie nosił gwiazdami zasypanego munduru z taką uroczystą dumą, jak on płócienny swój kitel gwardyjski.“ [1])

We Lwowie zapoznał się Baliński z całą plejadą wybitnych pisarzy: K. Szajnochą, W. Polem, Augustem Bielowskim, Łucyanem Siemieńskim; Ujejskiego zaś i Józefa Dzierzkowzkiego miał sposobność poznać już przed kilku laty w Warszawie; we Lwowie poznał także Ludwika Nabielaka, który z końcem r. 1847 przybył do Lwowa dla poszukiwania źródeł historycznych w Bibliotece Zakładu narodowego im. Ossolińskich. Ze wszystkimi tymi znakomitymi ludźmi zaprzyjaźnił się serdecznie Baliński.

W r. 1848 wydawał Szajnocha „Tygodnik Polski“ jako kontynuacyę pod inną nazwą „Dziennika Mód Paryskich“. W pismie tem współpracowali wszyscy co dopiero wymienieni pisarze, a nadto i inni z poza Lwowa, jak; Kaczkowski i Lenartowicz, nadsyłali swoje prace. Baliński zamieścił w „Tygodniku“ znany nam z rozbioru utwór: „Do braci lekarzy“, drukowany już przed dwoma laty w „Dzwonie literackim“, z opuszczeniem dwu pierwszych zwrotek, dalej „Kwiat tajemniczy“ i „Więzień do zbirów“; wiersze te powstały dawniej, jeszcze na gruncie warszawskim. Ze świeżo napisanych we Lwowie, znamy „Poeci przed Bogiem“. Za osnowę tego wiersza wziął poeta w zarysie dzieje życia trzech współcześnie

[1]) „Pisma“ Felicyi z Wasilkowskich Boberskiej.

żyjących poetów: Pola, Goszczyńskiego i Krasińskiego. Fizyognomia Pola zarysowuje się w treści całkiem wyraziście:

...jam z pieśnią śpieszył do gminu,
By go obudzić, podnieść do czynu.
Ale — o! zgrozo! — gromada ta
Podmuchem wrogów ślepa i zła...
Ha! cóż sroższego wymyślić!... cóż?!
W pierś swego wieszcza utapia nóż!
Ach! a jam wierzył w ten lud, jak w ciebie!
Czy taką zbrodnię pojmują w niebie?

. . . .

Ja ocalałem — lecz kraj kochany
Upadł — a wróg go okuł w kajdany.

. . . .

Więc, niby ciemny, idę do wroga
Z tą pieśnią moją, z tym głosem Boga!
Myśląc, że ona, ten boski gość,
Złagodzi wrogów zemstę i złość.

. . . .

. . . .

Więc gdy mię naród ujrzał śród wrogów,
Mniemał, żem własnych wyrzekł się bogów,
Że mnie przynęcił tyranów blask,
Że idę żebrać względów i łask;
Więc ja w istocie bez wiary, czci?
Wzgardę i klątwę, ha! rzucił mi!

. . . .

Pol bowiem, jak przedtem, kochał lud szczerze i zajmował się badaniem jego zwyczajów i obyczajów, jego powieści i legend, tak od r. 1846, w którym go bandy zbuntowanych ciężko poraniły w Polance pod Krosnem, bawiącego chwilowo u swego przyjaciela Trzecieskiego — przejął się goryczą, a tę gorycz wylał w utworze p. t. „Rok 1846“. Przytoczymy tu jedną zwrotkę dla poznania, w jak bolesny, ciężko obwiniający sposób reagowała dusza poety na ten krwawy wypadek:

W co się obróci ta Polska dziedzina,
I czem się będzie ten lud dalej bawił,
Gdy pierwszym krokiem, co w życiu postawił,
Już w dziejach świata wyrósł na Kaina?..

To obudziło niechęć ku Polowi, wywołało ostre wystąpienie K. Ujejskiego w „Listach z pode Lwowa“, a nawet skłoniło poetę do publicznego odparcia zarzutów. [1])

[1]) Maurycy Mann: „Wincenty Pol“.

Drugi z tych trzech poetów, to Seweryn Goszczyński, który począwszy od „nocy listopadowej“ przez cały ciąg kampanii powstańczej z r. 1831 był nieprzerwanie czynny i brał udział w wielu bitwach; po upadku zaś powstania, jako emisaryusz Towarzystwa demokratycznego, rozwinął niestrudzoną działalność około rozkrzewienia jego zasad po wszystkich ziemiach polskich. Oto jego sylwetka:

Jak burza śpiące echa gór, grzmoty,
Budzą lud mojej pieśni łoskoty —
I te pioruny, co mi pierś rwą,
Wlewam mu w serca pieśni mej krwią:
Toż młodzież nasza, istny ród bogów,
Mojemi gromy biła we wrogów.
Garstka nas była — więc tajnie, skrycie
Zbiegłem kraj cały, by rozbudzić życie.

Krasińskiego rysy dają się łatwo uchwycić w następującej zwrotce:

Ha! toć niedawnom wśród ludzi żył!
Byłbym, jak oni, zmalał i zgnił,
Ale mi wielcy bogowie dali
Ducha ze stali, z niebiańskiej stali.
Żadna go dotąd nie kala rdza,
Ni plama hańby, ni wstydu łza.
Więc dumny taką czystością moją
Jam się od ludzi odgrodził zbroją!
Zawsze zdaleka i zawsze sam —
Nie chcę ich uczuć — bo nie chcę plam!
Żyję przeszłością — bo tam się lśni
Wielkość nie naszych karłów i dni!

Znakomici poeci lwowscy rokowali Balińskiemu, jako poecie narodowemu, wybitne stanowisko, gdyż jeszcze przed zbiorowem wydaniem jego poezyj, z okazyi oceny poezyj Lenartowicza, tak o nim wspominali:

„Jednem z najpiękniejszych, najwięcej rokujących imion młodszego pokolenia narodowych poetów naszych, jak Berwiński, Koźmian, Ujejski, Baliński — jest imię Teofila Lenartowicza. Podobnie, jak Baliński, przybył on w ciągu bieżącego roku z Królestwa i t. d.“

Z tej notatki dowiadujemy się, że Baliński spotkał się z Lenartowiczem także na gruncie galicyjskim.

We Lwowie bawił Baliński przez szereg miesięcy i był świadkiem bombardowania Lwowa w dniu 2 listopada 1848 r.; niebawem jednak musiał opuścić Galicyę z powodu ukazu wydalania obcych przybyszów. Zawieszono stan oblężenia nad całą Galicyą, rozwiązano Radę Narodową i prawie wszystkie inne stowarzyszenia, powstałe dzięki jej staraniom. Zniweczono za jednym zamachem wszystkie nadzieje patryotów, jakie pokładali w powstaniu węgierskiem; patryoci ci wierzyli, że po zwycięstwie Węgier nad Austryą przeniosą walkę na terytoryum galicyjskie i z pomocą Węgier rozpoczną wojnę o niepodległość. Tymczasem nastąpił nieprzewidziany zwrot w polityce; Rossya przyszła na pomoc Austryi i dopomogła jej do zgniecenia powstania węgierskiego. Tak więc prysły nadzieje i kombinacye Polaków.

Baliński, żegnając na długo Galicyę, w przejeździe przez Kraków napisał wiersz p. t. „Requiem staremu światu". Pobudką do napisania tego wiersza był pożar Pragi, Krakowa i Lwowa. Patrząc na łuny pożaru, które się unosiły nad Lwowem w czasie bombardowania, w ich słupie ognistym widział poeta niejako miecz Archanioła, który nim wskazywał staremu światu zagładę. W tem przeczuciu woła Baliński:

Suń się mieczu płomienisty!
Świat ten zbrodni w popiół zniszcz!
Niechaj nowy a przeczysty
Prędzej wyjdzie z jego zgliszcz!

Dalej poeta powiada, że czas już rzucić na pastwę pożaru wszystkie nasze wady, ukryte w głębi łona, bo nie prędzej zginą w nim zbrodniarze, wrogowie nasi, aż serca nasze wybieleją cnotami, staną się czyste niewinnością, wówczas to dopiero:

Nasz wróg skończy panowanie,
Bóg się zbliży, Polska wstanie!

Z Krakowa udał się Baliński z bratem swym Aurelim przez Wrocław do Poznania; drogi swej nie kierował na Warszawę z obawy przed aresztowaniem. W Poznaniu wydał w marcu, czy kwietniu 1849 r., nakładem księgarni J. K. Żupańskiego, pierwszy zbiór swych poezyj pod skromnym tytułem „Pisma". Uczynił to Baliński przez skromność nie udaną, bo on udawać nie umiał, bo dwulicowym nigdy nie był, lecz przez rzeczywistą skromność swej duszy. Pojmując głęboko szczytne zadanie poety i poezyi, która

gwiazda ma świecić przed narodem i grzmotem wiary i nadziei podnosić jego zbolałe skutkiem klęsk serca, krzepić hart ducha i woli, by nie ustawał na drodze pracy około odrodzenia, nie śmiał nasz poeta, choć miał do tego prawo, nadać zbiorkowi swych wierszy nazwę poezyi: nie śmiał on, który każdy swój wiersz pisał krwią serca, łzą serdeczną. Bo czemże są jego poezye? Oto wiernem odmalowaniem dziesięciu lat narodowej tragedyi, narodowego męczeństwa, którego był uczestnikiem, a które rozpoczynało się nad brzegami Wisły, a kończyło na szubienicy carskiej, lub na lodowej Syberyi — w kopalniach nerczyńskich. Baliński tak sam mówi: „Niech każdy z widzów lub aktorów (tej narodowej tragedyi) toż samo uczyni, a będziem mieli historyę naszą pogrobową, wstęp do historyi naszego zmartwychwstania.“ On sam powiada, że w tej myśli wydaje swe „Pisma“, iż będą raczej ze stanowiska treści, ze stanowiska dziejów martyrologii narodowej oceniane, niż ze stanowiska sztuki, artyzmu. Jednak, jak widzimy z dotychczas rozbieranych i przytaczanych ustępów jego poezyj, nie brak im bynajmniej wybitnych zalet poetyckich, gdyż mają to, co stanowi w pierszym rzędzie istotę poezyi, to jest rzetelny i prawdziwy dar poetyckiego natchnienia i niezrównaną moc szczerego uczucia; obok tych istotnych zalet poetyckich nie brak jego poezyom i piękności językowych; rozmaitość formy i kształtów wiersza jest także bardzo bogata.

W zbiorze tym są zebrane wiersze, które poeta rozrzucał dawniej po rozmaitych czasopismach i pismach zbiorowych; ponieważ są to zazwyczaj utwory okolicznościowe, wiążące się ściśle z historyą życia samego poety, a zatem wyświetlające niektóre szczegóły z różnych drobnych okresów życia, rozbieraliśmy i przytaczaczalismy je więc łącznie z życiorysem i w ten sposób wyczerpaliśmy niemal cały zbiór.

Prócz już wymienianych, znachodzimy tu parę innych utworów, jak: „Piewca oniemiały“, drukowany w „Przeglądzie naukowym“ z r. 1844, „Konik zwierzyniecki“, „W imienniku Maryi Gum.....“, „W dzień ślubu Maryi Gr.....“, ładną balladę p. t. „Palma przeklęta“, „Odpowiedź Wenecyanina“, „Podobieństwo rozsiewcy“, „Dzisiejszy rycerz“.

Poemacik „Konik zwierzyniecki“ ujmuje w miłych kwartenach znany fakt historyczny trzeciego napadu Tatarów na Polskę za czasów panowania Leszka Czarnego. Tatarzy w swym wandalskim pochodzie zbliżyli się pod Kraków i zaczęli plądrować jego przedmieścia. Przerażona ludność krakowska pod wpływem niespodzie-

wanego napadu straciła otuchę do obrony. Było to w dzień uroczystości Bożego Ciała. Wówczas jeden z młodych Włoczków, czyli mieszczan, trudniący się spławianiem drzewa na Wiśle, wystąpił z płomienną mową i taki wzniecił zapał wśród uczestników procesyi, że wszyscy jak jeden mąż uderzyli na rabujących Zwierzyniec Tatarów i zwycięsko ich rozgromili. Ku czci tego zwycięskiego odparcia Tatarów obchodzi do dzisiaj Kraków tę piękną uroczystość z Konikiem Zwierzynieckim w dzień Bożego Ciała. Piękny ten poemacik był drukowany w „Atheneum" Kraszewskiego z r. 1844; cenzura jednak ówczesna, dopatrując się w nim alegoryi, poszarpała go do niepoznania; że także Baliński, opisując ten fakt dziejowy, miał na myśli alegoryę, nie ulega wątpliwości, wypływa to bowiem z przytoczonych ustępów:

Za wiarę! Za wolność! Za drogą tę ziemię
Do broni, Rodacy! idźmy w imię Boga!
Lepsza śmierć chwalebna nad niewoli brzemię,
Za mną, Bracia! na wroga! na wroga!

. . . .

I patrzcie! jak łuna bije blask oręży
I sunie się chmura ku Zwierzyńca stronie!
Ha! któż ją powstrzyma? I któż ją zwycięży?
Boską siłę ta chmura ma w łonie!

. . . .

I orzeł już zniknął — lecz jeszcze z daleka
Grzmi pieśń święta, hymn Boga Rodzico!
Maryo! niech nad nimi czuwa Twa opieka!
Broń naszych! O! Matko-Dziewico!

. . . .

Słyszycie tę wrzawę? — to nasi wracają!
To nasi wracają, zwycięzcy!
Słyszycie pieśń świętą? — to nasi śpiewają!
Zgromieni Tatarzy, ciemięzcy!

Dr. Jan Mirwiński.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".